POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 7-go lipca 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 27**

W NAS ŻYJE POLSKA

Żołnierze polscy na obczyźnie weszli w okres ciężkiej próby, cięższej, niż wszystko, co przeżyli w ciągu lat walki tajnej i jawnej, lat obozów koncentracyjnych i obozów jenieckich, lat klęski i ciemności, lat tęsknoty do Kraju i swoich, lat bolesnego marzenia o mundurze polskim w przymusowej służbie obcej, lat, zdawało się, najtrudniejszych dla całego narodu i dla każdego z nas z osobna.

Prawda, przed którą stanęliśmy w tych dniach jest zła, równie zła, jak prawda września 1939 r., gdy w walce samotnej ponieśliśmy straszną klęskę, jak prawda czerwca 1940 r., gdy niespodziany upadek Francji na lata oddalił koniec wojny i spełnienie naszych nadziei. Prawda czarnego czerwca 1945 r. jest jeszcze gorsza, gorsza od wszystkiego, co nam dotąd było dane doznać, przetrzymać, udźwignąć w sercu i myśli.

Polska utraciła chwilowo niepodległość, o którą walczyła 150 lat, w której obronie podjęła walkę w r. 1939, na której rzecz w ciągu tej wojny złożyła olbrzymią ofiarę krwi i cierpienia. Narzucono Polsce siłą "rząd" sprzeczny z wolą narodu, nie wyrażający jego pragnień, jego dążeń. Zrobiono to w sposób niebywały, przeciwny prawu, przeciwny międzynarodowym zobowiązaniom wobec nas, przeciwny europejskiej tradycji moralnej. "Rząd" w taki sposób powołany do życia będzie rządził pod ochroną obcych wojsk okupacyjnych i policji politycznej, która prześciga wszystkie wzory w bezwzględności i ponurej sztuce prześladowania, poniżania, unicestwiania człowieka, jeśli jest jej niewygodny. Słońce wolności ostatecznie zagasło nad naszą ojczyzną, nad naszymi domami, nad naszymi rodzinami i tylko jeden Bóg Sprawiedliwy wie, na jak długo.

Ten obrót rzeczy, przeciwny wszystkiemu, czego oczekiwaliśmy, o co walczyliśmy, za co płaciliśmy krwawym wysiłkiem — kładzie się okrutnym ciężarem na nasze serca. Ale nie może on nas złamać, nie może nas nawet zachwiać, nie może nas ani o cal sprowadzić z naszej drogi.

To, co się stało i co się jeszcze stanie, nakłada na nas zadania jeszcze cięższe, bardziej odpowiedzialne, niż zadania dotychczasowe. Stoi przed nami ten sam nakaz, który prowadził nas przez "zielone granice", który wskazywał nam drogę w podziemia, który dawał siłę przetrwania w obozach koncentracyjnych i w zamknięciu obcego, nienawistnego munduru, który pozwolił wytrzymać tak straszliwe próby nerwów, jak pogrom wrześniowy, jak bitwy pod Monte Cassino i Chambois. Jest to nakaz walki o Polskę w każdy możliwy sposób, godny żołnierza i Polaka.

Wszystko, co się stało w Polsce i co się jeszcze stanie, nie zostało uznane przez prawowity Rząd Rzeczypospolitej. Wszystko to jest bezprawiem. Wszystko to nie ma mocy obowiązującej i wiążącej. Wszystko: i zabór połowy naszego kraju, i pozbawienie go wolności obywatelskich, i narzucenie mu siłą "rządu" agentów, i wprowadzanie przemocą ustroju, wzorowanego na cudzych wzorach, i bezmiar gwałtów dokonywanych co dnia i co godziny — wszystko to jest tylko przestępstwem międzynarodowym, jak długo legalne przedstawicielstwo narodu nie dało na to zgody, nie ugięło się przed tym i nie ukorzyło. Wszystko to jest tylko narastającym rachunkiem — do wyrównania w przyszłości.

Manifest Rządu Rzeczypospolitej do Narodu, z dn. 27 czerwca — dokument wspaniałej godności, niezachwianej woli — stwierdza, że "Rząd Polski nie przestanie być prawowitym Rządem. Wywodzi on bowiem swoje istnienie nie z uznania innych, lecz z woli swojego narodu oraz z praw Rzeczypospolitej".

Jest to stanowisko, które wytycza prostą linię postępowania żołnierzowi, powołanemu do obrony praw swego kraju. Przysięgą żołnierską zobowiązaliśmy się bronić tych praw oraz wszelkiego dorobku duchowego i materialnego Polski. Ten pierwszy, święty obowiązek ciąży na nas tak długo, jak długo Zwierzchnik Sił Zbrojnych Prezydent Rzeczypospolitej uzna to dla zbiorowego dobra za potrzebne. Tylko Pan Prezydent władny jest zwolnić nas z bezwzględnie, powszechnie, nieprzerwanie w każdych okolicznościach wiążącej nas przysięgi żołnierskiej.

W orędziu z dn. 29 czerwca Prezydent Rzeczypospolitej — jak i Rząd Rzeczypospolitej — oświadczył gotowość przekazania swoich nieprzedawnionych i nienaruszonych uprawnień, gdy w Kraju powstaną warunki swobodnego wypowiedzenia się woli narodu. Takich warunków nie ma tam i nie będzie, póki trwa zbrojna okupacja, póki właściwe rządy sprawuje N.K.W.D., to znaczy sowiecka policja polityczna.

Do tego też czasu nie ma tam dla nas powrotu. Do tego czasu prawem obowiązującym nas jest słowo przysięgi. Do tego czasu Rządem, któremu możemy i chcemy dotrzymać wierności i wierności dotrzymamy, jest konstytucyjny Rząd Rzeczypospolitej Polskiej, przebywający, jak my żołnierze, na wygnaniu i jak my żołnierze, z wygnania prowadzący walkę o sprawiedliwość, o wolność, o możność życia dla naszego udręczonego Narodu.

To jest światło, w którym widzimy sprawę naszego powrotu na ziemię ojczystą. Każdy uczciwy człowiek, każdy prawy żołnierz zrozumie i uszanuje to stanowisko — jedynie możliwe, bo każde inne byłoby zdradą, przeniewierstwem, pogwałceniem własnego sumienia. Jeśli będą nas wzywać do powrotu, zachęcać do powrotu, namawiać lub zmuszać, odpowiemy: chcemy wrócić do Polski, jak pragniemy zbawienia duszy. Ale chcemy wrócić do Polski wolnej, niepodległej, samorządnej, stanowiącej o sobie, o swoim losie, swoim ustroju i swoim rządzie. O taką Polskę walczyliśmy od 1939 r. do ostatnich dni, ostatnich godzin tej wojny, we wszystkich kampaniach, na wszystkich frontach, nie szczędząc żadnej ofiary, znacząc szlak powrotu żywą krwią i grobami towarzyszy broni.

Nie chcemy wrócić i nie wrócimy do Polski niepolskiego porządku. Do Polski, w której prześladuje się ludzi za sympatie do Zachodu, za przekonania polityczne, za zbrodnię patriotyzmu. Do Polski, w której nie ma miejsca dla byłych jeńców, żołnierzy kampanii wrześniowej, przewożonych w bydlęcych wagonach z obozów jenieckich w Niemczech do obozów zesłania w głębokiej Rosji. Do Polski wreszcie, w której się skazuje, ściga, morduje bez sądu i masowo deportuje żołnierzy Armii Krajowej, naszych najdroższych towarzyszy broni, towarzyszy broni i walki wszystkich żołnierzy Sprzymierzonych, przede wszystkim żołnierzy Armii Czerwonej.

Umieraliśmy za sprawę sojuszniczą, za sprawę wolności wszystkich narodów, jesteśmy gotowi dać wszystko za sprawę wolności swego kraju, ciemiężonego w tej chwili, jak kraj wrogi i podbity, ale nie stać nas na dobrowolne całopalenie, na dobrowolne skazanie się na los żołnierzy polskiej armii podziemnej. Taka ofiara byłaby nierozumna i niecelowa. Takiej ofiary nikt nie ma prawa od nas wymagać.

Czekamy, aby świat upomniał się o krzywdę Armii Krajowej, i sami się upominamy i będziemy upominać głośno, ciągle, usilnie. To, co się stanie z bojownikami podziemnymi, będzie pierwszym znakiem, pierwszym probierzem, czy Polska idzie do wolności czy stacza się w coraz ciemniejszą przepaść niewoli.

Zła wola, przekupna gorliwość, krótka pamięć będą usiłowały, już usiłują podsunąć naszemu stanowisku motyw wrogości wobec Rosji Sowieckiej. Odpowiadamy: to jest kłamstwo. Nie jesteśmy mącicielami pokoju, jesteśmy obrońcami pokoju równego dla wszystkich, takiego samego dla nas, jak dla innych żołnierzy narodów sprzymierzonych, a nawet . . . niesprzymierzonych. Przypominamy, że walczyliśmy z Niemcami niezachwianie od 1939 r., że unikaliśmy w stosunku do Rosji wszystkiego, co by mogła uważać za akt nieprzyjazny lub niekorzystny dla siebie, że Armia Krajowa współdziałała z Armią Czerwoną do ostatniej chwili, już nawet wtedy, gdy coraz wyraźniej wrogi stawał się stosunek do żołnierzy, którzy jeszcze wczoraj razem przelewali krew w walce z tym samym wrogiem. Nie nam należy przypisać złą wolę i niechęć do porozumienia.

Przeciw nadchodzącej próbie wychodzimy ze spokojem serca. Nie nam się wstydzić ani drogi odbytej ani tego kresu, do któregośmy doszli. Wysoko, z godnością niesiemy głowy — mimo bólu, uderzającego w serce, mimo straszliwego zawodu i goryczy. Nie dosięgają nas te ukłucia, od których roi się prasa angielska ostatnich dni, próby siania zamętu, zastraszenia, oddzielenia nas od naszych władz. Bezwzględnie ufamy prawowitemu Przedstawicielstwu Narodu, które w tej tragicznej godzinie przemówiło z taką siłą moralną, tak dokładnie wyraziło skryte i jawne uczucia wszystkich prawdziwych Polaków, tak godnie odwołało się do Sprawiedliwości Boskiej, tak dobitnie przemówiło do sumień, jeśli jeszcze do reszty nie obrosły podłością. Nie zawiedziemy pokładanej w nas nadziei. Dochowamy Bogu i Ojczyźnie zaprzysiężonej wierności.

My, żołnierze Rzeczypospolitej wiemy, że dziś w nas żyje Polska i chcemy, aby w nas, w naszych sercach dożyła dnia nowej, prawdziwej, dobrze zasłużonej wolności.

ALEKSANDER JANOWSKI

ORĘDZIE PREZYDENTA R.P.

Obejmując urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, złożyłem uroczystą przysięgę, że będę "praw zwierzchniczych Państwa bronić, jego godności strzec, ustawę konstytucyjną stosować, względem wszystkich obywateli równą kierować się sprawiedliwością, zło i niebezpieczeństwo od Państwa odwracać, a troskę o jego dobro za naczelny sobie poczytywać obowiązek".

W ciągu długiej, najstraszliwszej wojny, jaką zna historia, gdy Polska z niezrównanym bohaterstwem walczyła z najazdem niemieckim, wszystkie swe siły poświęcałem pełnieniu obowiązków przez tę przysięgę na mnie włożonych.

Twarda, nieugięta walka, jaką Polacy w tej wojnie toczyli jest świadectwem, że ponad wszystko miłują oni wolność. Umiłowanie to jest odwieczną tradycją naszego Narodu, zawsze żywą, przechodzącą z pokolenia w pokolenie.

Przyświecało ono krwawym walkom wrześniowym, a po ich zakończeniu prowadziło żołnierza do Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie i sprawiło, że pod okrutną okupacją niemiecką setki tysięcy bezimiennych bohaterów zapełniły szeregi Armii Krajowej oraz organizacyj podziemnych.

Na wszystkich frontach w tej wojnie, na lądzie, morzu i w powietrzu obficie płynęła krew polska w obronie wolności. Dla niej poświęciliśmy najcenniejsze swe dobra, dla niej złożyliśmy największe w naszych dziejach ofiary z życia i mienia.

Wolność stanowi najistotniejszy wyraz woli Narodu Polskiego, który z jej obrony i zachowania uczynił w tej wojnie główny cel swych wysiłków politycznych i naczelne zadanie swej walki.

Dziś, gdy walka Narodów Zjednoczonych z agresją niemiecką została zwycięsko zakończona, Ojczyzna Nasza, niestety nie odzyskała jeszcze prawdziwej wolności.

Nie zostało odwrócone niebezpieczeństwo od Narodu i Państwa Polskiego. Wielkie dzieło odbudowy i pokoju w wolności, o które walczyliśmy, nie zostało jeszcze w stosunku do Polski spełnione. Wymaga ono dalszych poświęceń i dalszych wysiłków.

Prawo Rzeczypospolitej włożyło na mnie obowiązek przekazania po zawarciu pokoju urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej w ręce następcy, powołanego przez Naród w wolnych od wszelkiego przymusu i wszelkiej groźby, demokratycznych wyborach. Uczynię to niezwłocznie, gdy Naród będzie w stanie wyboru takiego dokonać.

Trwając na mym posterunku, czynię to zarówno zgodnie z wymaganiami obowiązującego prawa, jak również, sądzę, zgodnie z wolą olbrzymiej większości Narodu Polskiego.

Jestem przekonany, że znajdzie to zrozumienie w całym świecie u wszystkich, którzy wolność, sprawiedliwość i prawo stawiają wyżej od siły i przemijającej przemocy.

Na obywatelach Rzeczypospolitej, tyloma cierpieniami doświadczonych, ciąży obowiązek dalszego baczenia, aby wielkich tradycyj naszej kultury nie zatracić, łączności z naszą przeszłością dziejową nie zerwać, umiłowaniu wolności nie uchybić, wierności prawowitym władzom Rzeczypospolitej dochować i nie zaprzestać wysiłków zmierzających ku zapewnieniu Państwu Polskiemu jego praw, oraz należnego mu miejsca wśród wolnych narodów świata.

Przeżywamy okres niezmiernie dla Narodu i Państwa ciężki, wierzę jednak, że Bóg Wszechmocny pobłogosławi naszym wysiłkom i sprawi, że Polska wyjdzie z tej nowej próby zwycięska i bezpieczna i w swoich prawach nieuszczuplona.

ROZKAZ NACZELNEGO WODZA Nr.8

Żołnierze,

Pan Prezydent Rzeczypospolitej wydał dzisiaj Orędzie do Narodu. Wskazuje to na powagę chwili dziejowej, którą przeżywamy.

Myśli i wskazania, zawarte w Orędziu, są dla nas, żołnierze, nakazami Najwyższego Zwierzchnika Sił Zbrojnych na czas najbliższy.

Wytrzymaliśmy ciężką próbę długotrwałej i straszliwej wojny. Wymagała ona od nas olbrzymich ofiar. Złożyliśmy je dla niepodległości naszej Ojczyzny i wolności powszechnej. Twardy dzień dzisiejszy żąda od nas dalszego wysiłku dla tych samych, niespełnionych jeszcze, celów.

Zachowujcie karność, zwartość szeregów i opanowanie wewnętrzne. Bądźcie wierni przysiędze żołnierskiej. Ufajcie nam, swym przełożonym, którzy czuwamy.

Pójdziemy dalej razem ku Niepodległej Rzeczypospolitej, po drodze trudnej i uciążliwej, ale po drodze żołnierskiego obowiązku i honoru.

Londyn dn. 29 czerwca 1945 roku

Naczelny Wódz
TADEUSZ BÓR-KOMOROWSKI GEN. DYW.

Przegląd tygodniowy

WYBORY W ANGLII

W Wielkiej Brytanii odbywają się w tym tygodniu wybory do parlamentu. Kampania przedwyborcza dobiega końca. Obfitowała ona w wiele interesujących momentów i w miarę zbliżania się terminu głosowania przybierała na sile, stawała się coraz bardziej gwałtowna.

Byli członkowie z tego samego gabinetu koalicyjnego, którzy pracując wspólnie pod kierownictwem premiera Churchilla prowadzili kraj poprzez najcięższe momenty 1940 i 1941 roku — stanęli do walki po przeciwnych stronach barykady. Rząd koalicyjny rozszedł się w harmonii. Następnego jednak dnia ministrowie rozjechali się do swych okręgów wyborczych i rozpoczęła się zacięta walka.

Stanęły do niej dwa zasadnicze ugrupowania: Konserwatyści i *Labour Party* /Partia Pracy/. Na czele jednych stoi premier Churchill, na czele drugich b. wicepremier Attlee. Liberałowie odgrywają mniejszą rolę, choć jeśli w wyniku wyborów nikt nie osiągnie poważnej przewagi — będą oni mogli zająć kluczowe stanowisko w parlamencie.

Różnice programowe są poważne. Walka toczy się o to czy powojenne życie gospodarcze będzie się opierać na zasadach wolności wymiany i produkcji z ograniczeniem udziału państwa czy też w oparciu o kontrolę gospodarczą i unarodowienie ważniejszych ośrodków wytwórczych. Społeczeństwo brytyjskie ma z jednej strony dość wywołanego przez wojnę przenikania państwa do coraz liczniejszych dziedzin życia, z drugiej jednak strony obawia się, że usunięcie kontroli nad życiem gospodarczym może doprowadzić do gwałtownych przesileń, a brak gospodarczego planu — do bezrobocia. Na ogół jednak nie ulega wątpliwości, że program *Labour Party* nie jest czystym socjalizmem, a program konserwatystów daleko odbiega od zasad gospodarczego "*laissez faire*" /całkowitej swobody/.

Niezwykle poważnym atutem jest jednak sam premier Churchill, którego osoba została rzucona na szalę ważących się losów wyborczych. W swym ostatnim przemówieniu wyborczym oświadczył on zresztą wyraźnie, że nie ma zamiaru brać udziału w jakiejś nowej koalicji i — jeśli nie otrzyma większości — wycofa się z pracy politycznej. W ten sposób naród będzie musiał rozstrzygnąć, czy chce powierzyć losy kraju w ręce premiera zwycięskiego, cieszącego się nadal olbrzymią popularnością czy też uważa, że zasłużony przywódca wojenny powinien — otoczony powszechną wdzięcznością i szacunkiem — wycofać się, ustępując miejsca przy sterze państwa nowym ludziom.

Kampania wyborcza już się skończyła. Obywatel brytyjski wysłuchał spokojnie niezliczonych mów, zachwalających różne programy, przeczytał artykuły przedwyborcze, odezwy, ulotki. Nie troszczy się on zbytnio tą wyborczą walką, bo wie, że decyzja i tak do niego należy. On bowiem rozstrzygnie kto pozostanie przy władzy, a kto odejdzie, on rozstrzygnie, jaki program będzie wprowadzony i w jakim kierunku potoczy się życie w Wielkiej Brytanii. Bo w Wielkiej Brytanii władza należy do ludu.

Szczęśliwy kraj.

. . . I WYBORY W POLSCE

Gdy prasa angielska pisze o wyborach w Polsce, ma ona oczywiście na myśli takie wybory jak w Anglii. "Rząd" tymczasowy — myśli sobie czytelnik angielski — złoży zobowiązanie przeprowadzenia wyborów, a wówczas zostanie uznany przez rząd brytyjski. Jeśli się zobowiąże — to oczywiście zobowiązanie wykona. Wtedy rozpocznie się w Polsce normalna kampania wyborcza. Zwolennicy i przeciwnicy rządu będą na zmianę przemawiać przez radio lubelskie. Opozycja będzie namawiać społeczeństwo do obalenia rządu, a ten będzie się chwalił swymi osiągnięciami. Partie polityczne będą agitować społeczeństwo za pomocą plakatów, odezw i ulotek. Wreszcie obywatele pójdą do urn wyborczych i zadecydują, czy chcą Arciszewskiego, czy Bieruta. Tak oto mniej więcej myśli sobie przeciętny czytelnik angielski, czytając w swych pismach, że w Polsce będą przeprowadzone wybory.

Sytuacja panująca obecnie w Polsce z góry wyklucza możliwość przeprowadzenia tam prawdziwie wolnych wyborów mimo, że deklaracja krymska wspomina o "wyborach wolnych i nieskrępowanych".

Jeśli mają być one wolne, to muszą się odbyć na zasadzie pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego. Ale to prawo wyborcze ma sens jedynie w kraju, w którym istnieje demokracja. Prawdziwe wybory mogą się bowiem odbyć tylko w społeczeństwie korzystającym ze swobód politycznych, z politycznej wolności. A wolność polityczna to w najbardziej podstawowym i ogólnym pojęciu — swoboda działania stronnictw politycznych, wolność zgromadzeń, wolność oddziaływania na opinię publiczną za pośrednictwem wolnej prasy i powszechnie udostępnionego radia, bezpieczeństwo osobiste i swoboda poruszania się. W społeczeństwie, które posiada te wolności może być mowa o wolnych wyborach.

Ale deklaracja krymska wymienia jeszcze jeden przymiotnik: "*unfettered*", co możemy przetłumaczyć jako nieskrępowane. A czy można mówić o nieskrępowanych wyborach w Polsce tak długo, jak długo pozostaje tam Armia Czerwona i rosyjska policja polityczna? Jeśli więc wybory te miałyby być naprawdę nieskrępowane — jak to wspomina deklaracja krymska — Rosjanie musieliby wpierw ewakuować Polskę, a przynajmniej wycofać NKWD i swe polityczne organy.

CZY MOGĄ BYĆ "WOLNE I NIESKRĘPOWANE?"

Te "wolne i nieskrępowane" wybory muszą być następnie oparte o jakąś gwarancję, która zabezpieczyłaby społeczeństwo przed jeszcze jedną z tych fikcji, jednym z tych kłamstw politycznych, których w Polsce nagromadziło się tak wiele. Rząd Wielkiej Brytanii wyraził gotowość zaproszenia podczas wyborów w Grecji misji wielkich mocarstw, które miałyby dostęp do całego aparatu wyborczego, przeprowadzając surową kontrolę nad całą techniką głosowania. Obecność misji brytyjskiej i amerykańskiej i ich kontrola w czasie wyborów w Polsce wydaje się czymś niezbędnym. Na tę konieczność kontroli zwrócono zresztą uwagę w Izbie Gmin. Ponadto do Polski musieliby być dopuszczeni dziennikarze reprezentujący prasę całego demokratycznego świata. Zadaniem ich byłoby poinformowanie opinii publicznej o swych wszystkich spostrzeżeniach.

Czyż reżim rządzący obecnie Polską może sobie pozwolić na takie wybory? Nie wydaje się to niestety prawdopodobne, gdyż przy panujących w Kraju nastrojach, byłoby to równoznaczne z politycznym samobójstwem Lublina. Dla tego też rozumiemy doskonale niechęć p. Gomółki, pierwszego wicepremiera "rządu" lubelskiego do wszelkiej myśli o wyborach i zapał z jakim oświadczył on, że wbrew propagandzie "faszystów" otrzymał od ambasadora brytyjskiego zapewnienie, iż dla uznania nowego "rządu" przez Zachód nie jest potrzebny warunek złożenia obietnicy wolnych wyborów. Nie wiemy, jak ta sprawa przedstawia się naprawdę, ale złożenie obietnicy ostatecznie nic nie kosztuje . . .

Ten sam p. Gomółka, mówiąc o wyborach w Polsce w odpowiedzi na pytania dziennikarzy angielskich i amerykańskich zrobił jeszcze jedną, niezwykle charakterystyczną uwagę. Oświadczył on mianowicie, iż nie jest wykluczone, że podczas wyborów w Polsce potworzą się tak zwane "bloki wyborcze" i poszczególne partie pójdą do urny wspólnie.

Co to znaczy? Znaczy to bardzo wiele, gdyż taki "blok" wyborczy wyklucza opozycję, uniemożliwia walkę polityczną i współzawodnictwo partii. Podobny "praktyczny" wynalazek zrobiła już Bułgaria, gdzie do wyborów pójdzie tak zwany "front ojczyźniany". Kto do tego frontu nie należy — zostanie oczywiście uznany za "faszystę" . . .

KOLEJ NA TURCJĘ

Słuchając radia moskiewskiego, można sobie ułożyć tabelkę, kto w kolejności w danym tygodniu najbardziej denerwuje propagandę sowiecką. Polscy "faszyści" w Wielkiej Brytanii wiodą prym już od dłuższego czasu. Na następnym miejscu, tuż po nich, stoi Szwajcaria. Faszystowski kraj brutalnych i zaborczych Szwajcarów, jak wiadomo, prześladuje okrutnie internowanych Rosjan. Ostatnio jednak — w zupełnie niezłej formie — doganiają Polaków i Szwajcarów — Turcy. Rosjanie, zabezpieczywszy sobie już najwyraźniej sferę wpływów w Europie północnej, środkowej i południowej murem, biegnącym od Finlandii po Rumunię i Bułgarię — próbują obecnie rozciągnąć ją na Środkowy Wschód.

Zaczęło się to wszystko w marcu wymówieniem przez Rosjan rosyjsko-tureckiego traktatu przyjaźni. Obecnie dążenia Rosjan stały się już jasne i nie wyglądają one bardzo skromnie. Rosjanie po prostu domagają się rewizji statutu Cieśnin Dardanelskich, przyznania im tam pozycji uprzywilejowanej i zabezpieczenia tej pozycji odpowiednimi bazami. Tak zreorganizowane Cieśniny bronione byłyby "wspólnie" przez Turków i Rosjan. Ponadto Rosjanie — prawdopodobnie dla zadokumentowania swych przyjaznych uczuć — domagają się ustąpienia im przez Turcję dwu prowincji.

Sprawa Cieśnin nie wyszła jeszcze poza stosunki rosyjsko-tureckie, które szybko ulegają pogorszeniu. Nie ulega jednak wątpliwości, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone są w tym zagadnieniu poważnie zainteresowane i będą tu miały też coś do powiedzenia. Wielka Brytania jest ponadto sygnatariuszką Konwencji z Montreaux, demilitaryzującej Cieśniny i powierzającej Turcji opiekę nad nimi.

Turcja może zresztą powołać się na sojusz sowiecko-brytyjski, w którym oba mocarstwa zobowiązały się do nieszukania korzyści terytorialnych.

BRZYDKIE OBYCZAJE

Stanowisko niektórych pism brytyjskich w sprawie polskiej zaskoczyło nas bardzo nieprzyjemnie. Nie mamy tu na myśli spraw politycznych, bo różnice pod tym względem są zrozumiałe i mieliśmy zawsze w tym kraju politycznych przyjaciół i wrogów. Artykuły i notatki niektórych pism świadczą jednak albo o złośliwości ich autorów, albo o zupełnym niezrozumieniu tragicznej sytuacji, w jakiej znalazło się dziś tak wielu Polaków.

Mamy na myśli te obliczania przez żądne sensacji dzienniki wydatków skarbu brytyjskiego na polskie siły zbrojne. Nikt z tych "buchalterów" nie zatroszczył się o to, by wspomnieć, jak te inwestycje opłaciły się w powietrznej bitwie o Wielką Brytanię, w Tobruku, pod Monte Cassino, czy pod Falaise. Obliczyli oni natomiast dokładnie, ile będzie można zaoszczędzić, gdy się rządowi polskiemu odbierze uznanie.

Polskiego wysiłku w tej wojnie nie da się obliczyć w funtach i szylingach. Nie ma bowiem takich pieniędzy, które mogłyby narodowi polskiemu wyrównać poniesione straty. Dla tego też przypominanie nam w momencie, gdy los niepodległości Polski zostaje wbrew wszelkim przyrzeczeniom ostatecznie przypieczętowany, o tym ile kosztowaliśmy skarby alianckie — jest zdumiewającym nietaktem.

Wiemy jednak — i to nas pociesza — że te sensacyjne wyskoki nie odzwierciadlają stanowiska opinii brytyjskiej. Pomijając bowiem zagadnienie czy uważamy się raczej za wierzycieli — musimy stwierdzić, że z tytułu otrzymanych na polskie siły zbrojne pieniędzy nie poczuwamy się do żadnego długu. Ale prócz pieniędzy otrzymaliśmy na tej wyspie wiele przyjaźni i sympatii, za którą żywić będziemy zawsze wdzięczność. Przyjaźń ta trwa, poznaliśmy zbyt dobrze naszych brytyjskich przyjaciół, by uwierzyć, że skończy się ona teraz — właśnie w tym momencie. Należy zresztą zaznaczyć, że szereg poważnych dzienników, jak "The Times" i "The Daily Telegraph" okazały w tej sprawie znacznie więcej taktu i umiaru, a "Manchester Guardian" nawet surowo potępił niesmaczne żerowanie na naszej tragedii.

ZASTĘPCA

ś.p.

ZYGMUNT JASTRZĘBSKI

podporucznik artylerii

Oficer Kwatery Prasowej S.Z., członek Związku Dzienniakrzy R.P.,

współpracownik "Polski Walczącej",

zmarł po długich i ciężkich cierpieniach w Gallowhill Hospital dnia 18 czerwca przeżywszy lat 42. Pogrzeb odbył się dnia 21 czerwca w Morpeth, Northumberland

REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ"

Nowości lotnicze

Dopiero dziś, po tak długim czasie utrzymywania sekretu, można wyjawić, co to właściwie jest ów tajemniczy "RADAR". Mówiło się szeptem: że "radarem" ustalono, wykryto, "radarem" naprowadzono samoloty, mówiono o stacjach "radaru", wiedziano, że "radar" jest jednym z najważniejszych czynników w pracy lotnictwa, lecz nikt z postronnych nie był pewien, co to słowo właściwie oznacza. Bystrzejsi z laików domyślali się, że "radar" musi mieć coś wspólnego z telewizją i że jest to urządzenie radiowe, gdyż na to wskazuje pierwsza część skrótu.

Rzeczywiście "radar" jest słowem, które oznacza ogólnie wszystkie sprawy związane z systemami identyfikacji i orientacji w drodze radio-elektronowej na odległość. Tych systemów jest spora ilość, większość z nich jednak jest niedostępna jeszcze do ogłoszenia, jakkolwiek same podstawowe zasady są znane i stanowią jednakowy punkt wyjścia dla wszystkich. Krótko mówiąc "radar" jest zastosowaniem radia dla ustalania odległości w trzech wymiarach takiego przedmiotu, który odbija fale wysyłane ze stacji, specjalnie do tego przystosowanej. Fundamentem systemu jest dokładna znajomość szybkości, z jaką fala radiowa porusza się w przestrzeni oraz zasady odbijania się tych fal.

Sprawy "radaru" należą niewątpliwie do najbardziej romantycznych w historii tej wojny, równocześnie najważniejszych, bez nich bowiem lotnictwo w tej formie, w jakiej dzisiaj istnieje nie mogłoby ani żyć, ani działać. Bez "radaru" nie byłaby możliwa obrona Wielkiej Brytanii przed "Luftwaffe", bez "radaru" nie można by marzyć o bombardowaniu Niemiec na taką skalę, na jaką rozwinęły się operacje tego rodzaju, bez "radaru" wreszcie zwalczanie okrętów podwodnych byłoby bardzo trudne, jeżeli w ogóle możliwe.

Zastosowanie i rozwój tego, jednego z najbardziej doniosłych zdobyczy wiedzy, Wielka Brytania zawdzięcza w szczególności dwu uczonym: Sir Robertowi Wattson-Watt oraz marszałkowi Lordowi Dowling. Zawdzięcza też wiele dyskrecji tysięcy cichych pracowników, którzy umieli utrzymać tajemnicę przez tak wiele lat. To zjawisko jest dowodem wysokiego poziomu patriotyzmu i zrozumienia obowiązków obywatelskich przeciętnego Anglika.

Niemcy zostali zaskoczeni "radarem" i to stało się przyczyną ich klęski szczególnie w bitwie o Wielką Brytanię. Dopiero w czasie wojny uczeni niemieccy na podstawie fragmentów pewnych urządzeń, które dostały się do ich rąk po zajęciu Francji, zdołali odtworzyć cały system, rozwijając go jednak na zasadach zupełnie odmiennych i nie sięgających nigdy poziomu brytyjskiego.

Początkowo zastosowanie "radaru" znalazło miejsce w organizacji obrony myśliwskiej. Specjalne stacje G.C.I. /*Ground Control of Interception*/, ustalały bezustannie położenie samolotów nieprzyjacielskich i własnych. Znając te pozycje kontrola kierowała akcją własnych myśliwców, prowadząc z ziemi formacje do tego miejsca, gdzie mogły spotkać nieprzyjaciela. W ten sposób siły atakujące były atakowane przez obronę natychmiast i jeszcze przed celem. Dlatego też niejednokrotne próby "Luftwaffe" aby prowadzić ataki z kilku stron, zwodząc jednocześnie pozorowanymi atakami — spełzały za każdym razie na niczym, bowiem wszyscy myśliwcy byli uprzedzani na czas i kierowani na nowo tam, gdzie ich działalność była rzeczywiście potrzebna.

Później zastosowano stacje "radaru" na samolotach. Z tą chwilą odpowiednio wyposażone samoloty myśliwskie mogły na własną rękę nieprzyjaciela wykrywać i atakować, nawet zupełnie go nie widząc. To umożliwiło wszystkie operacje obronne w nocy. W "radarze" leżał sekret wielkich sukcesów, jakie lotnictwo brytyjskie odnosiło nad niemieckimi samolotami nadlatującymi pod osłoną ciemności.

Oto są dwa sposoby zastosowania "radaru". Jest ich jeszcze znacznie więcej, choćby ten, który pozwalał na naprowadzanie bombowców nad cel mimo, iż był on przysłonięty chmurami sięgającymi ziemi, czy ten, który pozwalał wykrywać nieprzyjacielskie okręty podwodne już na dużych odległościach, czy ów, który znakomicie uprościł nawigację samotnych bombowców czy myśliwców patrolujących nad morzami czy nad nieznanym terenem, czy wreszcie zagubionych z powodu czyto złej pogody, czy na skutek uszkodzeń przyrządów nawigacyjnych.

Generał Harold L. George, dowódca amerykańskiego *Transport Command* udzielił ostatnio wywiadu dziennikarzom alianckim. Oświadczył między innymi, że oddana mu pod dowództwo organizacja musi podjąć się szczególnie ciężkiej pracy, by wypełnić swe obowiązki, które na nią spadną w najbliższym czasie. Będzie się to dziać nie tylko na terenie Pacyfiku, lecz także w Europie.

Właśnie w Europie spodziewa się generał, że dotychczasową wydajność wyrażającą się cyfrą miliona mil przelatywanych miesięcznie, będzie trzeba podwyższyć do sześciu milionów mil miesięcznie /odległość od księżyca wynosi zaledwie 500.000 klm./. Równocześnie ilość pasażerów, których trzeba będzie przewieść, zwiększy się z cyfry 25,000 miesięcznie na 60.000. Podwyższenie pracy będzie spowodowane koniecznością przerzucania części personelu lotniczego z Europy do Ameryki. Równocześnie ta część amerykańskiej *Transport Command /U.S.A.A.F. Transport Command/*, która będzie działać z Europy, ma wziąć na siebie całość zaopatrywania amerykańskich wojsk okupacyjnych, rzecz jasna z amerykańskich magazynów.

Dotychczas ta organizacja operowała w samej tylko Wielkiej Brytanii z aż 20 lotnisk. W czasie od przystąpienia Ameryki do wojny do dnia zwycięstwa zdołała, poza wszystkim innym, przewieść z Ameryki do Wielkiej Brytanii 17,927 samolotów rozmaitego typu, przy czym rekord wynosił 229 samolotów dziennie.

Zliczając zaś wszystkie loty przez Atlantyk, odbyto ich wewnątrz *Transport Command* 30,000. Ciężar cargo przewiezionego na Wyspy Brytyjskie wyniósł poza 34,500 funtami poczty, także trzydzieści sześć milionów, pięćset tysięcy funtów towaru rozmaitego gatunku. Równocześnie przewieziono na pokładach samolotów 300,000 pasażerów, przeważnie ludzi o dużym znaczeniu.

Jak szybko może pracować organizacja, dowodem jest pewien wypadek z czasu inwazji kontynentu. W pewnej chwili stwierdzono ogólny brak pewnych części składowych dla stacji radio. Od chwili zapotrzebowania, do chwili dostarczenia na miejsce tych części upłynęło 18 godzin, mimo że potrzebne części znajdowały się na składach w Ameryce.

Z tych zestawień widzimy, jakie możliwości ma powojenna lotnicza komunikacja pasażerska i towarowa między kontynentami.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

23 czerwca: *Naczelny Wódz gen. dyw. Bór-Komorowski wizytuje 1 Dywizję Pancerną.*

25 czerwca: *Rząd R.P. wydał deklarację, w której stwierdza, że t.zw. "Rząd Jedności Narodowej" jest nielegalny i przez Naród Polski dobrowolnie uznany być nie może, jak również, że przekaże swoje uprawnienia jedynie Rządowi, który powstanie na wolnej ziemi polskiej i będzie odpowiadał woli Narodu wyrażonej w swobodnych wyborach.*

—Rząd R.P. wydał odezwę do Narodu Polskiego wzywającą wszystkich Polaków do zachowania godności narodowej przez karność i opanowanie, solidarność oraz nieskazitelność postępowania w życiu osobistym i zbiorowym. "Na każdym posterunku i na każdym dostępnym im polu winni dawać przykład wytężonej pracy i twórczego wysiłku".

26 czerwca: *Podpisaniem przez przedstawicieli 50 państw "Karty Zjednoczonych Narodów" zakończyła się konferencja w San Francisco. Jednym z celów nowoutworzonej organizacji dla zapewnienia bezpieczeństwa jest: "Ustalenie warunków, w których będą mogły być utrzymane sprawiedliwość i poszanowanie zobowiązań wynikających z traktatów i prawa międzynarodowego".*

27 czerwca: *Amerykański Sekretarz Stanu do Spraw Zagranicznych Mr. Stettinius podał się do dymisji.*

28 czerwca: *Radio warszawskie ogłosiło o ukonstytuowaniu się w Warszawie t.zw. "Rządu Jedności Narodowej".*

29 czerwca: *Prezydent R.P. wydał orędzie do Narodu Polskiego w którym powiedział m.in.: "Prawo Rzeczypospolitej włożyło na mnie obowiązek przekazania po zawarciu pokoju urzędu Prezydenta R.P. w ręce następcy, powołanego przez Naród w wolnych, od wszelkiego przymusu i wszelkiej groźby demokratycznych wyborach. Uczynię to niezwłocznie, gdy Naród będzie w stanie wyboru takiego dokonać. Trwając na mym posterunku, czynię to zarówno zgodnie z wymaganiami obowiązującego prawa, jak również, sądzę, zgodnie z wolą olbrzymiej większości Narodu Polskiego" . . .*

—Rządy francuski i szwedzki uznały t.zw. "Rząd Jedności Narodowej" w Warszawie.

30 czerwca: *Czechosłowacja i Sowiety podpisały układ, na mocy którego Czechosłowacja zrzekła się Rusi Zakarpackiej na rzecz Ukraińskiej Republiki Sowieckiej.*

Spotkanie z Armią Krajową

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Kwatera Prasowa 2 Korpusu, w maju

Czwórka młodych obdartusów, o twarzach spalonych na ciemny brąz i bystrych, zuchwałych oczach, wyglądająca na zawodowych obieżyświatów i zabijaków — to czterej żołnierze Armii Krajowej.

Przybyli rano z północy do obozu przejściowego w 2 Korpusie wraz z liczną grupą Polaków, którzy — wywiezieni przez Niemców na przymusowe roboty — pracowali przy budowie linii kolejowych i dróg w północnych Włoszech, a po kapitulacji armii niemieckich, skierowani zostali z punktów zbornych do 2 Korpusu.

Czwórkę tę spotkałem na podwórzu włoskiego folwarczku, który znajduje się tuż przy obozie przejściowym, jak szorowała się zawzięcie przy studni, wylewając na siebie całe wiadra przejmująco zimnej wody. Znajomość zawarliśmy bardzo szybko i zapaliwszy po chwili papierosy, rozsiedliśmy się w *"jeepie"*.

Prosiłem ich, by mi coś opowiedzieli o sobie, o swoich przeżyciach, o Armii Krajowej, o Warszawie, powstaniu.

—"Jest o czym gadać" — odezwał się Juchacz, najstarszy z czwórki, potrząsając swoją czerwoną czupryną, która od dobrych kilku miesięcy nie widziała nożyczek.

Ale zanim rozpoczęli swoje opowiadanie, musiałem jeszcze odpowiedzieć im na cały szereg pytań, którymi mnie dosłownie zasypali, chcąc z miejsca wszystkiego dowiedzieć się o nas, o Korpusie, i jak to teraz będzie z nimi? Czy wezmą ich odrazu do wojska i czy Jurek będzie mógł wstąpić do marynarki a Zygmunt do lotnictwa?

—"Fajno jest" — zakonkludował Juchacz, kiedy skończyłem — "nareszcie, chłopaki, dostaniem regularne mundury i won z tymi łachami" — dodał, wskazując na swoje ubranie.

—"A skąd macie takie spodnie?" — spytałem, dotykając mocnych, z białego, świetnego brezentu uszytych spodni Juchacza.

—"Z nieba" — odpowiedział.

—"Pan porucznik myśli, że żartuję? Ależ, jak Boga kocham, że z nieba. Angielskie samoloty zrzuciły nam jeszcze zeszłej zimy".

—"W Warszawie?"

—"Gdzież tam. To było jeszcze przed powstaniem. Siedzieliśmy wtedy w lasach" . . .

Okazuje się, że cała czwórka: Juchacz, Pokorski, Kwiatkowski i Świderski, znajdowali się od samego początku w szeregach Armii Krajowej i mają za sobą, oprócz późniejszych walk w powstaniu warszawskim, cały szereg większych i mniejszych bitew, potyczek i zbrojnych wypadów na niemieckie placówki i urzędy. Wszyscy czterej znajdowali się w tym samym oddziale i tworzyli nierozłączną czwórkę przyjaciół. Z chwilą wstąpienia do szeregów Armii Krajowej mieli po 16 — 17 lat i olbrzymi zapas entuzjazmu, wiary we własne siły, odwagi i zdecydowania. A do tego jeszcze, a może właśnie ponadto, każdy z nich miał swoje własne, osobiste porachunki z Niemcami, które postanowili jak najszybciej wyrównać . . .

Juchacz wysiedlony został z Poznańskiego, a rodzice jego zmarli w obozie koncentracyjnym. Pokorski był naocznym świadkiem śmierci swego ojca i starszego brata, rozstrzelanych przez Gestapo. Każdy z nich stracił kogoś ze swej rodziny, najbliższych, przyjaciół czy znajomych.

—"W Warszawie walczyliśmy na Woli, na Starym Mieście, potem broniliśmy Dworca Głównego" — opowiada Pokorski.

—"Na Starym Mieście widzieliśmy generała Bora. Przyszedł na wysunięte pozycje i przechodził obok naszej barykady. Ktoś powiedział nam wtedy, że to jest właśnie generał Bór . . ."

Kwiatkowski został lekko ranny w czasie walk na ul. Pańskiej. Starszy jego brat zginął. Juchacz pokazuje mi swoje blizny:

"Ja znowu oberwałem z cekaemu, ale szybko przyschło" — mówi, uśmiechając się.

—"A te blizny na nogach?" — pytam. kiedy odchyla nogawkę spodni.

—"To było potem. Nawialiśmy z pociągu, którym wieźli nas do Pruszkowa. Strzelali, dranie, za nami, ile wlazło. Postrzelali mi wtedy nogi świetlnymi pociskami ze *Spandau'a*! Taką ci iluminację zrobili, że proszę siadać! Ale koledzy mi pomogli, no i udało się. Tyle nas widzieli".

Po całym szeregu różnych przygód, krytycznych momentów i zasadzek, z których zawsze jakoś potrafili wyjść obronną ręką cała czwórka zdołała przedrzeć się do Jugosławii. Walczyli tam w oddziałach partyzanckich, niszcząc tory kolejowe i mosty, dokonując napadów na niemieckie kolumny i oddziały, a nawet mniejsze garnizony.

—"Kradliśmy Szwabom samochody" — ciągnie Juchacz — "a zdarzało się, że przyprowadziło się i jaki czołg. Jak było znowu gorąco z nami — to w góry".

W Jugosławii walczyli przez kilka miesięcy. Byli kolejno w różnych oddziałach partyzanckich, z których odchodzili, po kilku dniach pobytu. Pytam dlaczego.

—"Nie podobało nam się tam" — odpowiada któryś. — "Wiedzieliśmy zresztą, że we Włoszech jest wojsko polskie, do którego chcieliśmy się bardzo dostać. Przez Jugosławię nie dało rady, więc postanowiliśmy pójść przez Austrię".

Z Jugosławii czterej przyjaciele udali się do Austrii, zahaczyli po drodze o Niemcy, gdzie pod Wrocławiem wysadzili w powietrze most kolejowy, dokonując poprzednio udanego napadu na znajdujący się w pobliżu skład materiałów wybuchowych. Jednym słowem, urozmaicając sobie w podobny sposób drogę, dotarli do granicy włoskiej.



—"Najgorzej było, jakieśmy chcieli przejść przez Brenner, bo granica była mocno obstawiona. No, ale jakoś poszło. Zakatrupiliśmy dwóch strażników, zrobiła się solidna strzelanina, wyszliśmy jednak z tego Brenneru cało".

Ostatnie trzy tygodnie przed kapitulacją armii niemieckiej we Włoszech, ci czterej żołnierze polskiej Armii Krajowej spędzili we włoskich oddziałach partyzantów, a najlepszym dowodem tego, że nie siedzieli tam bezczynnie był ich triumfalny wjazd do dowództwa 48 dywizji amerykańskiej, dokąd przyjechali na własnej — skradzionej oczywiście Niemcom — amfibii, uzbrojonej w dwa karabiny maszynowe, oraz sporą ilość granatów i amunicji. Mają zresztą przy sobie dowód na złożenie sprzętu i broni, zaopatrzony pieczęcią i podpisem amerykańskiego majora.

—"Ale pistolety" — dodaje Juchacz — "oddaliśmy dopiero na naszej placówce polskiemu oficerowi łącznikowemu. Sam pan rozumie, że nie mogliśmy oddać ich Amerykanom. To były nasze, polskie "Visy", które służyły nam od 39 roku. Wzięliśmy je z Polski, to niech i wrócą z naszą armią do Polski . . ."

* * *

Ta dzielna czwórka przyjaciół, którzy po upadku powstania warszawskiego przez tyle przygód, walk, niebezpieczeństw zdołali z bronią w ręku dotrzeć do północnych Włoch i walczyć tam na tyłach pobitych i cofających się armii niemieckich — to nie jedyni żołnierze Armii Krajowej, którzy dotarli do 2 Korpusu. Wśród Polaków, którzy wywiezieni z kraju na przymusowe roboty, przybywają teraz, po zakończeniu wojny w Europie, coraz liczniej na teren 2 Korpusu z północnych Włoch czy Austrii — można spotkać wielu byłych żołnierzy Armii Krajowej, uczestników walk w powstaniu, którym po wielu trudach i ryzykownych przedsięwzięciach udało się wydostać z rąk niemieckich i przez Austrię dotrzeć do Włoch. Nie brak pośród nich i kobiet. Niedawno rozmawiałem z dwiema uczestniczkami powstania, które jako sanitariuszki pełniły służbę w oddziałach Armii Krajowej, walczących na ulicach Warszawy.

Pani Krystyna G. pomagała w pracy swojemu mężowi — lekarzowi Armii Krajowej — na jednym z punktów opatrunkowych podczas ciężkich walk na Woli. Po zajęciu tej dzielnicy przez Niemców, musiała opuścić w grupie ludności cywilnej Warszawę i znalazła się w Pruszkowie.

Opowiadała mi o potwornych scenach, jakie oglądała na punkcie przesyłkowym na stacji kolejowej Włochy pod Warszawą. Widziała, jak bez najmniejszego powodu żołnierze niemieccy strzelali do cywilnej ludności, dopuszczając się najgorszych okrucieństw i gwałtów, nie oszczędzając nawet małych dzieci. Widziała właśnie tam, jak Niemcy zmuszali młode dziewczęta i kobiety, wśród których było kilka w ciąży, a wiele chorych i wycieńczonych z głodu, do przenoszenia z wagonów kolejowych na samochody ciężarowe ciężkich bomb lotniczych, co było ponad ich siły i wytrzymałość. Słaniające się i opadające z sił kobiety Niemcy bili i kopali, szydząc i drwiąc przy tym, że muszą oto przenosić bomby, które za godzinę niemieckie samoloty zrzucą na Warszawę, które zniszczą ich własne domy a miasto zamienią w kupę gruzów i popiołów, grzebiąc w nich "przeklętych polskich bandytów" . . . Opowiadała o całej wstrząsającej gehennie ludności Warszawy, spędzonej za druty Pruszkowa, skąd zdołała się wyrwać i po ciężkich trudach przedostać do Austrii.

Druga sanitariuszka Armii Krajowej, 18-letnia Czesia, wysoka, ładna dziewczyna z Warszawy, opatrywała rannych ze swego oddziału w bramie na pół zburzonego domu na placu Zbawiciela, gdy wokoło waliły się ściany domów, huczały pożary i rozrywały się niemieckie pociski. Po wzięciu jej do niewoli Niemcy wywieźli ją z Pruszkowa do słynnego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po kilku koszmarnych tygodniach spędzonych za drutami tego obozu śmierci, śmiały napad oddziałów Armii Krajowej na obóz, przyniósł jej wolność. Uciekła na Węgry, skąd wyjechała do Austrii, a potem do Włoch.

* * *

Porucznik Zygmunt S. opowiada o bitwie warszawskiej spokojnie i rzeczowo. Nie mniej jednak opowiadanie jego jest żywe, niezmiernie interesujące, pulsujące tempem wypadków, uwypuklające grozę minionych zdarzeń i rysujące wyraźne, prawdziwe sylwetki ludzi Podziemnej Polski.

Przez otwarte okno pokoju wdziera się słońce, poszum drzew i przytłumione słowa komunikatu, który nadaje wóz dźwiękowy w ramach specjalnej audycji dla przybyłych świeżo z północnych Włoch Polaków.

Gdy stanie się w tym oknie, widać rozrzucone między drzewami dużego ogrodu owocowego białe namioty obozu przejściowego i powiewającą nad nimi biało-czerwoną chorągiew. Kilkuset ludzi, z których wielu ma jeszcze na sobie mundury niemieckie, skupiło się na łące, otaczając zwartym kołem wóz dźwiękowy . . .

Porucznik S., zgasiwszy niedopałek papierosa, wraca do swego opowiadania. Unika patosu, nie akcentuje momentów, które można by było podkreślić i wybić. Ale właśnie dlatego, że opowiadane są tak zwyczajnie i po prostu — wychodzą tym silniej, tym bardziej kontrastowo, tym ostrzej.

W 1939 r. porucznik S. walcząc w szeregach jednego z pułków Strzelców Konnych dostał się do niewoli niemieckiej. Udało mu się jednak uciec i szczęśliwie przedostać do Warszawy, gdzie z miejsca wszedł do organizującego się w stolicy ruchu podziemnego. Opowiada o wspaniałej konspiracji tajnych zebrań i odpraw kurierów, jakie często odbywały się w jego mieszkaniu na Marszałkowskiej.

Sam on nie brał udziału w ćwiczeniach oddziałów A.K. i przygotowywaniu powstania, gdyż jako oficer liniowy przeznaczony został do czynnego wystąpienia i miał w odpowiedniej chwili, po otrzymaniu rozkazu zgłosić się na ściśle określone w nim miejsce zbiórki. Mówi natomiast o szkoleniu żołnierzy Armii Krajowej i przygotowywaniu świeżych kadr dowódczych, o zakonspirowanych szkołach podchorążych, których uczniowie uczęszczali nie tylko na wykłady, ale nawet i ćwiczenia bojowe, przeprowadzane w podmiejskich lasach. Z chwilą wybuchu powstania zgłosił się do punktu zbornego na Kruczej i przydzielony został do Oddziału Bezpieczeństwa miasta, który miał m.in. za zadanie rozbrajanie luźnych oddziałów niemieckich i zapewnienie bezpieczeństwa ludności cywilnej.

—"Prawdziwą tragedią był dla nas katastrofalny brak broni i amunicji. Proszę sobie wyobrazić, że na 100 ludzi mieliśmy zaledwie 1 karabin i pistolet".

—"Oczywiście, były zrzuty zaopatrzenia. 1 września w południe widziałem duży zrzut z amerykańskich bombowców. Zniżały się one do takiego pułapu, za który ci dzielni lotnicy płacili życiem. Wiele takich zrzutów upadło między liniami niemieckimi i naszymi, leżało po parę dni. Trzeba było je zdobywać ciężkimi wypadami, które zawsze kosztowały nas wiele ofiar. Niejednokrotnie byłem świadkiem "wyścigów" pomiędzy Niemcami a naszymi żołnierzami do tych leżących między pozycjami worków z zaopatrzeniem, które przeważnie kończyły się krwawymi walkami wręcz . . ."

Porucznik Zygmunt S. objął później dowództwo grupy, która zaopatrywała oddziały pierwszej linii w amunicję i żywność, oraz zajmowała się ewakuacją rannych. Do grupy tej przyjmowano jedynie ochotników, gdyż praca była ciężka i niebezpieczna wobec ustawicznego ognia nieprzyjaciela. Mimo to zgłaszało się wiele kobiet, dzieci a nawet starszych ludzi. I chociaż oddział ponosił stałe, ciężkie straty w zabitych i rannych, wszyscy zachowywali się wspaniale, pracując z całym poświęceniem, żołnierską odwagą i prawdziwą pogardą śmierci.

Podczas walk w Śródmieściu, przed jedną ze zdobytych na Niemcach barykad ulicznych, widział około 500 zabitych Polaków z ludności cywilnej, którą Niemcy ustawiali przed swymi pozycjami, lub też pędzili przed nacierającymi oddziałami szturmowymi. Nie był to wypadek odosobniony, podobne potworne sceny działy się we wszystkich dzielnicach.

Po kapitulacji Warszawy por. S. został przewieziony do Pruszkowa, skąd cudem udało mu się wydostać i dotrzeć do Krakowa. Nie było tam jednak bezpiecznie, gdyż Niemcy zaczęli już organizować w tym czasie masowe łapanki i obławy na Warszawiaków, wyciągając z domów nawet dzieci i kobiety. Porucznik kupował więc codziennie bilet do Olbromia, by w razie przytrzymania go mieć dowód, że znajduje się w Krakowie tylko przejazdem.

Ofensywa sowiecka i przełamanie frontu niemieckiego zastały porucznika w Częstochowie. Rosjanie zbliżali się szybko. Niemcy opuszczali miasto z gorączkowym pośpiechem. Porucznik S. zdołał przekupić niemieckiego kolejarza i dostać bilet do Krakowa w ostatnim pociągu, jaki miał odejść z Częstochowy.

O godzinie 2 po południu, kiedy pociąg miał już ruszać, wybuchła nagle na dworcu silna strzelanina. Niemców ogarnęła panika. Zaczęli wyskakiwać z pociągu i uciekać na oślep po torach. W przedziale, w którym znajdował się porucznik kilku oficerów niemieckich zaczęło zrywać ze swoich mundurów odznaki wojskowe i odznaczenia. Okazało się, że czołgi sowieckie wdarły się do miasta, a dwa z nich wjechały na tory i zaczęły ostrzeliwać z działek stację i pociąg. Dopiero po pewnym czasie kilku oficerów niemieckich zorganizowało opór i otworzono ogień do czołgów, niszcząc jeden i zmuszając następny do wycofania się. Gdy pociąg wreszcie ruszył, Częstochowa paliła się, a samoloty sowieckie zrzucały ciągle bomby na miasto.

Porucznik wrócił do Krakowa w chwili, gdy od strony południowo-zachodniej wkraczało do miasta wojsko sowieckie. Uciekł niemal w ostatniej chwili. Na Śląsku panował już chaos i kompletna dezorganizacja. Drogi były zawalone cofającymi się wojskami niemieckimi i uciekającą w popłochu ludnością niemiecką.

—"To było gorsze piekło, niż we wrześniu 39 roku" — opowiada porucznik — "Ale z prawdziwą satysfakcją patrzyłem na te tłumy, uciekające w popłochu na zachód. Proszę sobie tylko wyobrazić, że w ciągu 24 godzin przebyliśmy zaledwie 16 km. i to w samochodzie, do którego zabrał mnie z żoną jakiś Ślązak w mundurze niemieckiego żołnierza. W Niemczech panowała taka sama dezorganizacja i panika. Tym łatwiej więc było nam dostać się do Wiednia, a stamtąd do Włoch".

" Doprawdy, chwilami aż wierzyć się nie chce, że to wszystko już się skończyło, że jestem wreszcie wśród polskiego wojska, że mogę mówić swobodnie po polsku i patrzeć na polskie mundury . . ."

* * *

Każde pierwsze spotkanie Polaków z Kraju z żołnierzami 2 Korpusu nacechowane jest szczerą, obustronną radością. Żołnierz nasz przyjmuje i wita ich tutaj całym sercem. I nie tylko dlatego, że przybywają z Polski, że byli jeszcze niedawno w kraju, że przeszli przez piekło okupacji i lata pełne grozy — wita ich równocześnie jako towarzyszy broni, jako żołnierzy najwspanialszej na świecie armii podziemnej, której ostatnią, tragiczną bitwę o wolność Warszawy śledził z bijącym sercem przy radiowym głośniku.

Bo w chwili, gdy wśród gruzów stolicy Polski ostatnim jej obrońcom zabrakło amunicji i żywności, Korpus po krótkim odpoczynku nad Adriatykiem wyruszał na ciężką, kilkumiesięczną kampanię apenińską, która przyniosła mu nowe zwycięstwa.

Bo zarówno oni w palącej się Warszawie, jak żołnierze 2 Polskiego Korpusu w chmurnych Apeninach a potem na słonecznej nizinie Lombardii, bili się o to samo: o Polskę, o Jej wolność.

JANUSZ WEDOW

WIELKI DZIEŃ MARYNARZA BLUSZCZA

POCZĄTEK HISTORII

Było to dawno temu — w czasach, kiedy słońce świeciło nie tylko na niebie, ale kiedy równie często zaglądało w serca wszystkich ludzi, żyjących spokojnie i prosto na starej ziemi śląskiej. Było to dawno temu — wówczas, kiedy o wojnie mówiliśmy, jak o czymś, co nastąpić musi i wyobrażaliśmy ją sobie, jako zmaganie się dwu armii, z głębokich okopów prowadzących walkę.

Leon miał wówczas niespełna dziewięć lat.

Któregoś dnia letniego poszedł z matką do wuja na nielada uroczystość: czterej kuzyni Leona przyjechali do domu na urlop. Wszyscy czterej byli w marynarce. Zdolne to były chłopaki, a że podobał się im niebieski kołnierz i marynarska bluza, więc pozostali w marynarce na stałe.

Jak Leon zobaczył kuzynów, to aż mu się przed oczami zaćmiło. I już wiedział, że pójdzie do marynarki. A tu matka, kiedy już do domu wracali, dolała oliwy do ognia.

—Będziesz, Leoś, marynarzem — powiada — kiedy dorośniesz.

—Będę, mamusiu.

Tak się zaczęło. Na śląskiej wsi rosło dziecko, świadome tego, że kiedyś będzie marynarzem. Rosło dziecko, żądne dalekich, ciepłych mórz, krajów nieznanych i przygód, śniących się nieustannie po nocach.

Liczna rodzina, złożona z czterech sióstr i trzech starszych od Leona braci, przyzwyczaiła się z biegiem lat, jak się ludzie przyzwyczajają zawczasu do tego, co musi nieuchronnie nastąpić. Leon będzie marynarzem. Ojciec też mu to zawsze powtarzał: Jednego syna mam w wojsku, kapralem teraz został, drugiego — w lotnictwie, trzeci gospodarstwo po mnie obejmie, a Leoś pójdzie do marynarki. Bo i po co chłopak ma na małym gospodarstwie zostawać? Malarzem będzie tak samo, jak ja? Do pędzla żadnej ochoty nie ma, a na wsi teraz malarzem być nie jest łatwo. Ludzie wymagania swoje mają. Pokój źle odmalujesz, albo szyldu dla oberży nie upiększysz należycie — stracisz wszystko, coś miał i już cię nikt do roboty nie weźmie.

Lata szły szybko, a chociaż nie wiele zmian przynosiły mieszkańcom małej wioski śląskiej, dla Leona zawsze się jednak coś nowego znajdywało w murach niedużej szkoły. Niby i szkoła ciągle była ta sama, i nauczyciel ten sam, a zawsze tam coś nowego było. Leon uczył się chętnie i często siedział w domu nad książką, w której o dalekich i nieznanych krajach pisali.

WRZEŚNIOWA WOJNA

Któregoś ranka po wsi rozeszła się wieść dziwna i niepokojąca. Powstańcy śląscy biegali od jednego domu do drugiego, wołając, że Niemcy przekroczyli granicę i że wojna już się zaczęła.

—Uciekajcie, kto może na wschód! — wołali. — Uciekajcie!

Leon szybko wlazł na dach i uporczywie szukał wzrokiem wojska, co od granicy iść miało. Ale wojska nie było. Pomiędzy lasami jaśniała białym kurzem szosa — spokojna, jak zwykle o tej porze dnia. Kobiety ku kościołowi ścieżyną ciągnęły na mszę świętą. Może więcej ich dzisiaj było, niż zwykle, a może tyle, co zawsze. Gromadka mężczyzn opuszczała wieś, idąc na wschód. Niektórzy nawet wózki mieli ze sobą, żeby rzeczy łatwiej było zabrać. A potem — to już i na wozach jechali, podnosząc z szosy tuman kurzu, zdaleka widoczny w blaskach jesiennego słońca. Ale od granicy niczego jeszcze nie było widać.

Dopiero później pokazały się trzy samoloty. Zniżyły się nad szosę i Leon posłyszał jakiś szczęk nieznany, widząc jednocześnie, jak ludzie uciekają z szosy do rowów i kryją się za przydrożne krzaki.

—Leoś — doleciał doń głos z dołu. — Natychmiast złaź z dachu. Do domu idź i rodzicom powiedz, żeby uciekali ze wsi. Wojna się zaczęła.

—W domu nie ma nikogo. Matka poszła do kościoła, a ojciec pewnikiem do roboty.

—To do kościoła leć i powiedz, że Niemcy idą.

Ale do kościoła Leon już nie zdążył, bo ksiądz dzisiaj szybciej mszę świętą odprawił, pomodlił się za pomyślność Rzeczypospolitej i Pana Prezydenta, powiedział ludziom, że wojna się rozpoczęła i o błogosławieństwo Boże dla Wojska Polskiego prosił.

Właśnie całą gromadą z kościoła do wsi wracali, kiedy od wschodu pokazały się na drodze pierwsze oddziały polskie idące ku granicy niemieckiej. Żołnierze szli uśmiechnięci, weseli i dumni. Kiwali dziewczętom, które pośpiesznie — gdzie się dało — zrywały kwiaty, rzucając przechodzącym pod nogi.

Ledwie tylko oddział przeszedł przez wieś, od granicy pokazały się zbliżające się szybko tumany kurzu. Polacy rozsypali się w tyralierę i po chwili coraz częstsze strzały dały znać mieszkańcom spokojnej wsi śląskiej, że wojna jest tuż tuż. Ludzie stali jeszcze przed domami, wpatrzeni w zachodnią stronę, skąd już nie tylko szczęk broni, ale świst kul i wybuchy pocisków wyraźnie docierały do wsi.

Strzelanina stawała się coraz ostrzejsza. I coraz częściej ukazywały się tumany kurzu, szybko zbliżające się do wsi od granicy. Aż wreszcie przez wieś przetoczyły się niemieckie czołgi.

Zaraz za nimi jacyś ludzie w obcych mundurach rozbiegli się po całej wsi. Wszystkich mieszkańców zwołali przed sołtysa i wówczas — Matko Święta! czy się tu cuda jakoweś dzieją? — przed dom wyszedł Herrmann. Ten sam, co to w miasteczku na granicy niewielką fabryczkę miał i którego syn dwa lata temu skończył gimnazjum w mieście.

—Kto ma broń — oświadczył Herrmann, ubrany w dziwaczny mundur — ma ją natychmiast przynieść i mnie oddać. Kto nie odda — będzie rozstrzelany! Skończyło się tu polskie panowanie! Gdzie raz stanie stopa żołnierza niemieckiego — ziemia staje się niemiecka!

Wolno i od niechcenia ludzie zaczęli znosić broń. Ale wszystkiego przecież nie oddali. Jak ktoś miał stary pistolet zardzewiały, albo i dubeltówkę jaką — to oddawał. Ale karabiny szybko pochowano po strychach, do dołów powrzucano, żeby potem łatwiej było przechować. I jakoś minęło przedpołudnie.

Leon zaraz pobiegł ku lasowi.

Pusto było na polach. Przez ścierniska, jeszcze nie zaorane, biegły nowe drogi, wyryte gąsienicami niemieckich czołgów, przez kartofliska biegły i nawet przez krzaki pod lasem. Przybite do ziemi — jeszcze zielone — gałęzie połamane były na drobne patyki.

Pod lasem z kartofliska podniosła się jakaś postać. Leon długo nie mógł jej poznać. Dopiero, kiedy zbliżył się nieco, poznał i zrozumiał: — To ksiądz. Podszedł do niego i już razem chodzili po polach, pochylając się raz po raz nad wbitymi w ziemię ciałami, ubranymi w mundury polskie. Ksiądz odmawiał nad każdym modlitwę, przyglądał się pilnie każdemu, czy nie spotka rannych. Ale rannych nie było. Więc kazał Leonowi tylko liczyć wszystkich.

—Przyjdziemy tu jeszcze raz i przewieziemy naszych żołnierzy na cmentarz — powiedział.

Pod wieczór pochowali wszystkich na cmentarzu w wielkiej, wspólnej mogile, nad którą stanął krzyż, a pod krzyżem hełm. Nazwisk poległych jeszcze wypisać nie zdążyli, więc tylko na krzyżu wypisano pośpiesznie: *"Tu leżą żołnierze polscy, polegli za Ojczyznę"*.

Nazajutrz podniosła się straszna awantura. Herrmann szalał, krzyczał na wszystkich i nawet samego księdza przed ludzmi sponiewierał:

—Jacy żołnierze? Na niemieckiej ziemi tylko wojsko niemieckie może istnieć. Buntownicy to byli i bandyci, Niemcom wstępu na ich ziemię broniący. Żaden z nich na cmentarzu nie będzie leżał. Jeszcze dzisiaj mają być wykopani. W lesie ich pochowacie. Bez żadnych krzyży. Bez żadnych uroczystości. I mogiła ma być z ziemią zrównana tak, jak powinno być z mogiłami rozbójników.

Wieczorem trzeba było grób rozkopać, ciała wyjąć i przewieźć do lasu. Cała wieś wybrała się na ten pogrzeb. Ale znowu zjawił się Herrmann, ludzi rozpędził i tylko kilku zostawił, żeby zdjęli ciała z wozów, w dół zrzucili i przysypali ziemią.

Tak się dla Leona zaczęła i tak skończyła wojna. Miał wówczas lat 13. I aż czasem samemu sobie nie wierzył, że w jednym dniu wojna może się skończyć. Do wsi nie dochodził już odgłos strzałów i wybuchów. Dochodziły tylko wiadomości — ponure, złowieszcze, straszne. Wreszcie ostatnia: "Warszawa padła".

ROZWIANE MARZENIA

Z upadkiem stolicy łączył się upadek sił i nadziei całej Polski. Z upadkiem stolicy łączyło się brutalne zniweczenie wszystkich marzeń, wszystkich snów i wszystkich planów na przyszłość. Nie tylko dla ludzi dorosłych, związanych całym życiem z Państwem Polskim. Upadały również i plany dziecięce — marzenia, pielęgnowane od dawien dawna. Dla Leona Bluszcza upadek Warszawy był pogrzebaniem snów o marynarce.

—Nie będziesz już, Leoś, marynarzem — mówiła mu matka, gładząc jego jasne włosy. — Nie będziesz już marynarzem.

—Wybij sobie z głowy marynarkę — tłumaczył ojciec. — Nie ma już marynarki polskiej.

Tylko wuj inaczej zapatrywał się na wszystko, co się stało.

—Niczego się nie bój, Leoś. Do roboty się bierz. Jeszcze przyjdzie czas i na ciebie. Sam w zeszłej wojnie byłem w marynarce niemieckiej. Do Anglii się dostałem, jako jeniec wojenny. I gdybym już nie był żonaty, w Anglii po wojnie bym został, ożenił się i jużbyś mnie nie widział. Podobało mi się tam. Naród spokojny, porządny. Wygodę swoją mają, grzeczni są. I to sobie zapamiętaj, bo nie wiadomo, co w dzisiejszych czasach człowieka spotkać może. Jakbyś już nie mógł w domu zostać, to się do Anglii staraj trafić. Dasz sobie radę, boś chłopak mocny. Spamiętaj moje słowa.

I nieraz mu później to samo powtarzał, dodając, że na całym świecie nie ma takiej marynarki, jak angielska.

—Marynarzem chcesz być? Tam się wszystkiego nauczysz. A kiedy znów polska marynarka będzie, wrócisz do swoich. Bo Polska będzie. I marynarkę też będzie miała. Zobaczysz . . .

W roku 1940-ym trudno już było dorastającemu chłopakowi siedzieć na wsi u rodziców. Niemcy coraz więcej z gospodarstwa zabierali i trzeba się było rozglądnąć dokoła, żeby fach jakiś wybrać i zacząć na siebie zarabiać.

Leon zdecydował wówczas bez wielkich dyskusyj:

—Na kopalnię pójdę robić.

—Poco ci to? — zapytał ojciec. — Nie widzisz, że teraz na kopalni same Niemcy sztygarami zostają? Popychadłem chcesz być? Naucz się najpierw rzemiosła, a potem wszędzie sobie robotę znajdziesz.

—Będę się uczył ślusarstwa — oświadczył Leon.

—Dobry fach — przytaknęli rodzice.

I na tym stanęło. Okazało się jednak, że to wcale nie takie proste w wojennych czasach uczyć się rzemiosła. U Niemców tak było, że każdy musiał przed terminowaniem pracować cały rok. Do fabryki musiał iść, albo i na rolę. Dopiero kiedy dostawał zaświadczenie, że pracował przez rok, wolno mu było iść do terminu i uczyć się rzemiosła.

—Co tam będziesz po fabrykach chodził i zdrowie niszczył. Na rolę pójdziesz. Przynajmniej głodu nie zaznasz.

Jednak pójść na rolę nie było wcale tak łatwo. Trzeba było wyjechać do Niemiec. Tylko, że się to wszystko na Śląsku — na samej granicy polsko-niemieckiej — działo, to i pod tym względem było łatwiej.

—Na Śląsk Opolski pojedziesz. Polaków tam przecież pełno. Zawsze się znajdziesz między swoimi, to ci będzie lepiej — zdecydowała matka.

I tak się skończyło. Leon poszedł na Śląsk Opolski. I chociaż do Polaków nie trafił, wybrali mu tam rodzinę niemiecką, polecili go i dobrze mu było, złego słowa powiedzieć nie może. Niemcy nie mieli dzieci, więc go traktowali jak syna. Pracował niezbyt ciężko, jadł dobrze, a że sam ze Śląska pochodził i władze niemieckie za Polaka go uznać nie chciały, więc i swobodę miał.

U innych gospodarzy w tej samej wsi też byli Polacy. Ale tym było gorzej. Nie trafili na dobrych ludzi. Jedzenie takie dostawali, że i świnie by go nie jadły. Pamięta przecież, jak młody Polak z Pomorza, co przeszedł przez Oświęcim bo nie chciał zdradzić brata, który już wtenczas służył w podziemnej Armii Polskiej taki chleb dostawał, że go nawet ugryźć nie było można. A jak tylko powiedział, że jeść tego chleba nie może, to gospodyni poskarżyła się wójtowi. Wójt zaraz przyszedł na pole i zbił chłopaka biczem od koni po twarzy, że się krwią zalał i przewrócił. To go wtenczas i wójt i gospodyni z synami dopadli, i tak skopali, że przez tydzień ledwie chodził. A z innymi nie było tak?



Załoga niemieckiego okrętu podwodnego, który poddał się Royal Navy; straż pełnią marynarze z polskiego ścigacza

POD NIEMIECKIM BUTEM

Tak minął rok. I Leon wrócił do domu. Do kopalni poszedł i tam ślusarstwa się uczył. Niemcy wówczas na Ruską skoczyli. Co się to wtedy działo!

Zaraz w pobliżu kopalni była polska szkoła. Niemcy szkołę zamknęli, ogrodzili podwórzec drutem kolczastym i zrobili obóz dla robotników, których coraz więcej na kopalnię przyjeżdżało. Byli tam też i Polacy, których przeważnie od Krakowa przywieźli. Ale większość była ruskich. Ci, co się dostali do niewoli. Bili ich, że aż strach było patrzeć.

Niemcy budowali wówczas fabrykę w pobliżu. I ci jeńcy musieli tam pracować. Słabe to wszystko było, mięsa nigdy niewidzące. Tyle, że im dawali zupę z buraków, albo z kapusty bez żadnej okrasy. Nieraz to aż 15-tu było potrzeba, żeby unieść stalową szynę. I to jeszcze dozorcy Rusków po plecach kijami okładali, że się nieraz któryś przewracał. Umierali też jeden po drugim. W lesie ich i Polaków chowano i nie wolno było nikomu na te mogiły chodzić, bo były zagrodzone drutem kolczastym . . .

Któregoś dnia Leon poznał Polaka. Pracował przy budowie tej nowej fabryki. Słaby to był człowiek i trudno mu było odrobić pracę. Pożywienie marne dostawał i robił się coraz szczuplejszy. Podobno przed wojną był profesorem w gimnazjum w pobliżu Krakowa. Niemcy go przedtem trzymali po jakichś innych obozach, a potem tu przywieźli z synem, co nie miał jeszcze 15-tu lat. I pracowali tu razem: ojciec i syn.

—Czy możesz mi przynosić trochę chleba? — zapytał profesor Leona. — Mieszkasz w domu, to pewno masz. A ja tu z synem ginę z głodu.

Leon powiedział matce i odtąd codziennie nosił ze sobą do roboty całe śniadanie dla profesora. Tylko, że nie mógł mu podać. Jakby Niemcy to zobaczyli, zastrzeliliby profesora, a Leona zbiliby i zamknęli do więzienia za to, że, on *"Niemiec ze Śląska"* rozmawia z Polakami i jeszcze im jedzenie przynosi.

Więc się umówili, gdzie Leon będzie chleb zostawiał dla profesora. I tak trwało długi czas. Tylko którego dnia, profesor ukradkiem powiada:

—Dziękuję ci, chłopcze. I w domu matce podziękuj. Ale mi nie przynoś jedzenia. Mnie jest niepotrzebne, a chłopak mój wczoraj umarł. Wywieźli go do lasu. I nawet nie będę wiedział, gdzie pochowany . . .

I coraz mroczniejsze toczyły się dnie, pozostawiając w sercach bezmiar goryczy, bezmiar żalu i nienawiści . . .

Któregoś dnia Leon przyszedł — jak zwykle — po pracy do domu i zastał tam gości. A goście dawno do nich nie przychodzili, bo pod oknami ciągle kręciły się szpicle niemieckie, wpadając zaraz, jak tylko kilka osób się zgromadzi. Cały dom wówczas do góry nogami przewracali, bili, a i kradli, co się dało.

—No, Leoś — mam dzisiaj coś wesołego dla ciebie tajemniczo oświadczył mu ojciec. I długo coś majstrował za szafą. Ale wreszcie zmajstrował i na pokój dobywać się zaczęły przytłumione dźwięki polskiej mowy.

—Jezu! — Więcej nie mógł mówić. Łzy napłynęły do oczu i zaczął płakać, chociaż cały wysiłek wkładał, żeby się opanować.

Był to dziennik radiowy z Londynu. O Wojsku Polskim tam mówili, jak Tobruku pięknie broniło, o lotnikach polskich. I o marynarce . . .

—Więc jest jeszcze Wojsko Polskie. I jest Polska Marynarka.

Fale goryczy rozstąpiły się w głębiach serdecznych, z których najpierw zwolna — nieśmiałe i przyczajone — dobywać się zaczęło dawne marzenie, sen błogich dni dzieciństwa: sen o marynarce.

—Mówiłem ci — zaczął wuj — że jeszcze będzie Polska Marynarka Wojenna. Mówiłem ci, Leoś, i powtarzam: kieruj się do Anglii. To było radio z Londynu. Do wojska ciebie i tak wezmą. Zdrów jesteś — to się uchowasz. Karku nie nadstawiaj, tylko się staraj do Afryki dostać, a nie na wschód. Tam sobie dasz radę. A słowa moje spamiętaj: kieruj się ku Anglii!

Od tego dnia całe życie Leona potoczyło się inaczej. Koledzy coraz częściej do domu zaczęli przychodzić, żeby posłuchać polskiego słowa z Londynu i prawdy o wojnie się dowiedzieć, bo Niemcy coraz bardziej zaczęli kłamać. Że to niby nad całym światem już panują — krzyczeli. A tymczasem radio mówiło całkiem co innego. Pod Stalingradem stanęli i ani rusz dalej . . . więc się czuło, że im przestało się powodzić.

Pojawiły się tajne gazetki i aż dziw brał, że nawet do obozu docierały, gdzie siedział profesor.

Przyjdziesz rano do roboty i już wszyscy Polacy wiedzą, co się na świecie dzieje. A Leoś aż ręce zacierał, bo chociaż dobrze nie wiedział, kto to i gdzie robi, wiedział, że koledzy jego starają się zapisać wszystko, co mówi radio. I potem w gazetkach prawie słowo w słowo te same wiadomości były powtarzane.

Dla Leona jednak istniało inne zagadnienie, najważniejsze: — Jakby się dostać do Polskiej Marynarki? Cała przyszłość przecież od tego zależała. Chciał być marynarzem i na stałe pozostać w marynarce. Czemuż więc musi tkwić w kopalni?

Ale nie mógł niczego wymyśleć, coby zbliżało go do spełnienia odległych marzeń. Dokoła rozlewała się ponura rzeczywistość, poza którą istniał świat niedostępny. I tym się na sercu ciężej robiło, że wiedział o istnieniu tego świata. Póki mówił sobie, że nie ma teraz Polskiej Marynarki, żył codziennością, powtarzającą się aż do obrzydzenia. Ale teraz, kiedy już wie, że są Polskie Siły Zbrojne i że jest Polska Marynarka wydało mu się, że całkiem niepotrzebnie siedzi u rodziców, tracąc dzień po dniu, zamiast je wykorzystywać.

Ale wuj inaczej myślał, niż Leon.

—Śpieszy ci się, czy jak? Jeszcze 17-tu lat nie masz, a chciałbyś, żeby tak wszystko migiem się zrobiło? Masz czas. Już ja ci powiem, kiedy pora przyjdzie.

NA WRAŻEJ SŁUŻBIE

I powiedział. Było to wówczas, kiedy Leon był pod Hannoverem w *Arbeitsdienst* i kiedy do domu przyszła karta powołania do wojska wcześniej, niż Leon z obozu na urlop przyjechał. Na komisję stanął, a że był zdrów, więc go zaraz wzięli.

Został wcielony do piechoty. Miał się zameldować w Katowicach. Ale przed wyjazdem zdążył jeszcze pójść do wuja na rozmowę.

—No widzisz, teraz czas pomyśleć o marynarce — zaczął wuj. — Do niemieckiej nie pójdziesz, więc staraj się dostać do niewoli. Powiesz, żeś Polak, zgłosisz się do marynarki i będziesz marynarzem, jakżeś chciał. Idź z Bogiem. A słowa moje pamiętaj: kieruj się na Anglię.

Przeszkolenie rekruckie było krótkie. Pułk został przerzucony do Francji. — Co za kraj — dziwił się Leon. — Co za kraj. Bo też czy kto gdzie widział na Śląsku, albo nawet i gdzieindziej, żeby jak tylko zmrok zapadać zacznie, dziewczęta z chłopakami po wszystkich parkach chodziły, tuliły się w ramiona i na oczach wszystkich zastygały w gorących pocałunkach? — Zgorszenie tutaj się rozkrzewiło — myślał Leon.

Aż kiedyś spróbował sam dziewczynę zagadać. Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i poszła. Dlaczego?

—Boś ty w niemieckim mundurze tu przyjechał — wytłumaczył mu kolega, również Polak. — Francuzki nie chodzą z niemieckimi żołnierzami.

Wierzyć mu się nie chciało, ale przekonał się, że to prawda. Bo i Polaków spotkał w Montluçon, co mieszkali tutaj jeszcze przed wojną. Przyjęli go gościnnie i serdecznie — jak swego. Ale też powiedzieli, że Francuzki z niemieckimi żołnierzami nie będą chodziły.

—Jeżeli zobaczysz Francuzkę z niemieckim żołnierzem — to wiedz odrazu, że to upadła dziewczyna. Za pieniądze z Niemcem idzie. To tylko tak się zdaje, że Francja jest rozwiązła. Tak nie jest, Możesz z Francuzek przykład brać, skorzystasz na tym.

Dnie mijały na ćwiczeniach i mustrze. Całkiem tak, jak w obozie *Arbeitsdienst'u* pod Hannoverem, gdzie Leon był przez 3 miesiące, zanim go do wojska wzięli. Musztra, musztra i musztra. Ale i tę musztrę można było wytrzymać. Gorzej, że papierosów brakło. Fasowali im po 3 dziennie. I jak to miało starczyć? Żeby nie znajomi Polacy w Montluçon — Leonowi nigdyby nie wystarczyło. Zresztą nie tylko Leonowi. Innym tak samo.

Kiedyś Leon poszedł z kolegą — też Polakiem — z wizytą do znajomych, a tam młody chłopiec, syn gospodarzy, powiada:

—Czy macie dużo broni?

—Pewno.

—I amunicję też?

—Mamy. A o co chodzi?

—Jakbyście mogli kiedy przynieść — przynieście. Przehandlujemy za papierosy.

—A poco ci broń?

—Głupiś. Poco w dzisiejszych czasach broń może być potrzebna? Niemców bić będziemy. Zobaczysz, że już niedługo . . .

I umówili się na następną sobotę. Kiedy przyszli, oprócz Polaka czekał na nich jeszcze jakiś Francuz. Oddali im wszystko, co mogli ze sobą zabrać. Nie wiele tego było, ale zawsze pistolet i ze 60 pocisków karabinowych. Dostali za to po paczce papierosów — całe 40 sztuk na dwóch.

I Leon jużby się zadomowił w Montluçon, ale właśnie przyszedł rozkaz i pułk przeniesiono na front. Wprawdzie walk nie było tam żadnych, ale u Niemców się nazywało, że są na froncie. Stali pod St. Nazaire — nad morzem, które Leon widział pierwszy raz w życiu.

Leon Bluszcz przez cały tydzień przyglądał się morzu — przez tydzień, kiedy miał służbę w swoim bunkrze. Potem powracał na kwaterę w miasteczku pod St. Nazaire, przebywał tam dwa dni i wracał na brzeg morza, aby znowu przez tydzień wpatrywać się w daleczyznę.

Wiosną morze jest kapryśne. I ma najsilniejszy zapach, pachnąc nieznanymi woniami nieznanych roślin. I właśnie wiosną morze najczęściej mieni się przeróżnymi kolorami. Takie też było wiosną 1944-go roku, kiedy Leon Bluszez wespół ze swoim oddziałem chodził na długie warty nadmorskie, lub przez szczeliny bunkra wpatrywał się w morze, chcąc wypatrzeć zbliżające się "niebezpieczeństwo". Ale niczego nie widział.

Źle mu się powodziło tej wiosny. Schudł, bo jedzenie pogarszało się niemal z każdym dniem. I niemal z każdym dniem oczekiwał, że wreszcie pojawią się na fali barki płaskodenne, pojawią się okręty-olbrzymy, ziejąc ogniem ku niemu, ku bunkrowi, na brzeg. Nawet już sobie obmyślił wszystko: jeżeli wylądują tu Amerykanie i Anglicy, nie cofnie się. Zostanie w pobliżu bunkra, broń rzuci, przeczeka w lesie, póki będą tu trwały walki, a potem wyjdzie z białą chusteczką w ręku.

Plan był tak szczegółowy, że nawet czysta, biała chusteczka została w tym celu oddzielona od reszty bielizny i włożona do wewnętrznej kieszeni munduru, aby tym łatwiej było ją wyciągnąć. Plan był tak przemyślany, że wykonanie jego mogło nastąpić w każdej chwili. Cóż jednak można było zrobić? Sprzymierzeni nie lądowali.

Aż wreszcie . . . Ale i to nie w pobliżu St. Nazaire, tylko w Normandii. Co za pech!

Warty przeciągały się w nieskończoność, błękit atlantycki obrzydł tak bardzo, że Leon już się nawet nie mógł nań patrzeć, szpiclowanie niemieckie stało się tak nieznośne, iż stawało kością w gardle.



Dowódca i oficerowie "U-249" pod strażą marynarzy polskich /drugi od lewej marynarz Leon Bluszcz/

NA WOLNOŚCI!

W tym czasie Niemcy przerzucali swoje wojska na front, który już na dobre rozpalił się we Francji. Oddział Leona również został przerzucony. Zbiegło się to z amerykańską ofensywą, więc właściwie Leon nie widział już twardego niemieckiego frontu. Kiedy pułk przyszedł na pozycje. Niemcy już uciekali, więc i Leon uciekał. Ale że tych stron nie znał — nie wiedział, gdzie będzie mógł się poddać.

Amerykanie gonili Niemców bez przerwy. Tak, że ledwie nadążali uciekać. Co przez noc uciekną — to od rana trzeba dalej nawiewać, bo już amerykańskie czołgi walą na wszystkie strony, nie patrząc, czy tam jest nieprzyjaciel, czy nie. Jak tylko jakieś zarośla na drodze, to już i moździerze i miotacze ognia i karabiny maszynowe walą przez parę minut tak, że nikt stamtąd nie mógł ujść z życiem.

W nieustannej ucieczce Leon nie widział żadnego żołnierza amerykańskiego. Wreszcie po ośmiu dniach Niemcy zatrzymali się za niewielkimi wzgórzami i tu cały oddział rozsypał się, kopiąc sobie stanowiska. Leonowi wypadło przejść nieco naprzód dla rozpoznania niewielkiego lasku w pobliżu. Poszło ich wszystkiego dwunastu. Ledwie dotarli do skraju lasu, a tu jak w nich Amerykanie łupną ze wszystkich stron. Trzech zabili odrazu, kilku ranili, a reszta uciekła. Leon przykucnął przy rannym i zaczął go opatrywać. Potem wziął na ramiona i dotaszczył do jakiegoś oddziału.

—Amerykanie nie strzelali, kiedym niósł kolegę. Widziałem ich, jak się mnie przyglądali. I już chciałem zwiać, wyciągnąłem swoją chusteczkę, ale spojrzał na mnie Niemiec i nie podnosząc głowy z nad ziemi pyta, po co to mam? Kolega tu ranny leży — powiadam — to muszę mu opatrunek założyć.

I ucieczka nie udała się.

Oddział Leona rozproszył się niewiadomo gdzie, a tam, gdzie zdał rannego, nie wyznaczono mu żadnej roboty. Dopiero pod wieczór kazali mu z trzema żołnierzami wziąć dwóch jeńców amerykańskich i przeprowadzić przez las na tyły. Tego dnia Niemcy odbili jedno ze wzgórz i wzięli kilku. Rannych brali niechętnie, przeważnie zostawiając ich w skurczach bólu pod upalnym słońcem Francji.

Wieczorem Leon znalazł się z jeńcami amerykańskimi w lesie. Nie rozumiał, co mówili między sobą, ale przysiadł się bliżej, chcąc im poradzić, żeby uciekali. I że on im pomoże w ucieczce.

—Ja jestem Polak — powiedział.

Ale go nie zrozumieli.

Pod nogą trzasnęła niewielka gałązka. Leon podniósł ją i powoli, jakby bezmyślnie zaczął rysować na piasku. Ta linia — to Hel, zaraz obok wybrzeże, a potem niżej poznańskie wcina się na zachód. I Śląsk.

Wreszcie narysował. Nieudolnie to było zrobione, ale przecież wiadomo każdemu, że nie żaden inny to kraj, tylko Polska.

Leon trącił Amerykanina. Ten długo przyglądał się rysunkowi, ale nie rozumiał z niego nic.

—Polska, Polska — powtarzał uparcie Leon, wskazując na siebie.

W tej chwili drugi jeniec amerykański uśmiechnął się i ledwie słyszalnym szeptem zadał pytanie:

—Ty jesteś polski?

—Tak.

Żołnierz niemiecki zbliżył się do tej grupy, przerywając wszelkie rozmowy. Trzeba było ruszyć w dalszą drogę, bo się już dostatecznie ściemniło.

Droga nie była łatwa. Amerykanie ostrzeliwali lasek i co chwilę trzeba było padać na ziemię, aby uniknąć świszczących zewsząd kul. W pewnej chwili — kiedy moździerze amerykańskie zaczęły zasypywać lasek pociskami, Leon chwycił Amerykanina za rękę i skoczyli w bok. Przebiegli szybko, kryjąc się za krzakami. Nie odpowiedzieli na krzyki Niemców, szukając jak najprędzej kryjówki.

Biegli długo przerywanymi skokami. Aż wreszcie dopadli drogi i przykucnęli w rowie. Wzdłuż drogi gwizdały kule, czołgi amerykańskie szły naprzód, cofały się i znowu szły, ziejąc ogniem przed siebie. Wyjść na drogę nie było sposobu.

—Byle tylko przesiedzieć tu przez noc! Byle tylko przeczekać tę lawinę ognia niepostrzeżonym! A jutro, jutro można już będzie wyjść z kryjówki, wyciągnąć białą chusteczkę i przejść na drugą stronę, pozostawiając za sobą wszystkie dnie minione, cały ogrom bezsilnej wściekłości i zacząć nowe życie. Nowe życie! . . .

Kiedy Leon obudził się, słońce chyliło się ku zachodowi. Amerykanina już nie było w pobliżu. Na szosie nie było czołgów. Kurz opadł na krzaki i drzewa.

—Spałem dwadzieścia godzin — stwierdził Leon. — Spałem w huku walki.

Karabin leżał koło niego w rowie. Ale nie podniósł broni.

—Niech sobie leży, cholera!

I poszedł. Nie minęło nawet miesiąca, kiedy lądował w Anglii. Był jeszcze wprawdzie w niemieckim mundurze, ale cóż to szkodziło.

Było to w Portsmouth. Prowadzili ich z portu szeroką ulicą. Zapamiętał sobie to miejsce, bo z okna fryzjerni wyjrzała jakaś smagła i czarna dziewczyna.

SPEŁNIONE MARZENIE

A potem? Potem był obóz i komisja poborowa. Potem zapytali Leona do jakiego oddziału chce pójść. Nie namyślał się. Odpowiedział:

—Do marynarki.

Lekarze go jeszcze raz zbadali i powiedzieli, że się nadaje. No i jest w marynarce. Tylko, że jeszcze nie pływał, jak się należy. Zanim skończył przeszkolenie rekruckie, już na morzu nie było działań wojennych. Okręty polskie remontowano po ciężkiej służbie, więc Leon przez cały czas przebywał w obozie. Aż go posłali na kurs torpedowy: do Portsmouth.

A tam wiadomo, wyjście było codzień, więc wieczorem poszedł kiedyś na dancing. Patrzy i własnym oczom nie wierzy: młoda, zgrabna dziewczyna, o czarnych włosach i smagłej cerze — słowem hiszpański typ — tańczy z jakimś polskim marynarzem. Więc i Leon podszedł do niej, a że już po angielsku trochę rozumiał i sam mógł się od biedy wyjęzyczyć, poprosił do tańca.

Okazało się, że dziewczyna pracuje w zakładzie fryzjerskim.

—To ja ciebie widziałem.

—Kiedy?

No i opowiedział, jak to było.

—Prawda — ja zawsze przyglądałam się, jak prowadzili jeńców niemieckich. Ale, żebyś ty był niemieckim żołnierzem — nie wierzę. U nas jeńców nie daje się do naszej armii, ani do marynarki. Przyjdź do domu do mnie, ojcu opowiedz, jak to było . . .

Leon przyszedł. Opowiedział ojcu.

—Cóż? Jak uciekł od Niemców i Amerykanom się poddał, powiedział, że jest Polakiem, to go oddali Polakom i teraz jest w polskiej marynarce. Tu w Portsmouth dużo waszych było. W czasie inwazji też wasze trzy okręty stąd poszły pod Normandię.

Teraz czasem, kiedy Leon przygląda się obrazom przeszłości, wstaje twarz wuja i przypominają się jego słowa, jakby dopiero co były wymówione. I powstaje pytanie: a może rzeczywiście trzeba było jechać do Anglii? Życie w marynarce ma dobre, niczego mu nie brak. Wie, że na stałe w marynarce zostanie, bo już od dziecka o tym marzył. Czas więc i o własnym domu pomyśleć . . . Gdyby tylko ten w Polsce ocalał, gdyby ocalał . . .

Na wiosnę Leon przydzielony został na ścigacze. Pośpiesznie to się działo, jakby natychmiast trzeba było wyjść w morze i do akcji. Ale do akcji nie doszło. Doszło tylko do kompletnej klęski Niemiec. Wiadomości co kilka godzin przynosiły nowe szczegóły całkowitego załamania się Trzeciej Rzeszy. Ale Leon Bluszcz sam jeszcze nie widział tego załamania. Przeszedł właśnie do nowej bazy polskich ścigaczy, pośpiesznie przygotowywanych na wyjście w morze.

WIELKI DZIEŃ

Dopiero 10-go maja od samego rana wyznaczono dwunastu marynarzy polskich, aby pojechali na zatokę dla dokonania rewizji załogi "U 249", pierwszego niemieckiego okrętu podwodnego, który poddał się Aliantom.

Bluszcz był też wyznaczony. Wpatrywał się zdaleka w mglistą zatokę, chcąc dojrzeć niemiecki okręt podwodny. Ale nim go zobaczył, ujrzał sylwetki dwu fregat angielskich, eskortujących Niemca.

Marynarza Leona Bluszcza poznałem właśnie tego dnia. Kiedy "U 249" dobił do traulera angielskiego, na którym czekała ekipa polska i angielska, Bluszczowi polecono pełnić straż przy oficerach niemieckiego okrętu podwodnego, póki znajdują się oni jeszcze na pokładzie własnego okrętu. I wówczas marynarz Bluszcz zwrócił na siebie uwagę niemal wszystkich korespondentów amerykańskich.

—Czego on się tak cieszy? — pytali mnie dziennikarze.

Skądże mogłem wiedzieć? Zapytałem marynarza, co robił, gdzie był poprzednio. Powiedziałem Amerykanom, że jest to wielki dzień marynarza Bluszcza, który we Francji niespełna rok temu uciekł z armii niemieckiej i dzisiaj pilnuje niemieckich oficerów.

Ołówki szybko przebiegały przez kartki notatników. Posypały się dodatkowe pytania, na które odpowiadał już bezpośrednio marynarz Leon Bluszcz. Mnie zaś historię swoją opowiedział później, kiedy nawet poddawanie się niemieckich okrętów podwodnych przestało być sensacją, bo tuż w pobliżu naszych ścigaczy możemy codziennie oglądać pod banderą angielską i "U 249" i "U 1023" i "U 776", które poddały się w naszej bazie.

Był to wielki dzień marynarza Bluszcza. I zarazem był to wielki dzień tych wszystkich marynarzy polskich, którzy w najpiękniejszych latach młodości przeszli piekło na ziemi. Leon Bluszcz tylko widział to piekło, sam go nie przeszedł.

A jednak, kiedy oficerowie niemieccy musieli na pokładzie "U 249" oddawać polskiemu marynarzowi nawet swoje rzeczy osobiste, marynarz Bluszcz cieszył się tak, że żadna maska nie zdołała ukryć wewnętrznej radości. Cieszył się, że przed marynarzem polskim ukorzyła się buta niemiecka, która tyle łez i krwi wytoczyła z Europy.

Ja wiem dzisiaj, że kiedy marynarz Bluszcz stał na pokładzie "U 249", przez ekran jego pamięci przebiegły minione obrazy, obrazy z dzieciństwa, obrazy spokojnej wsi śląskiej i ogromu zła, jakie na swoich bagnetach przynieśli tam Niemcy.

I wiem, że stojąc na pokładzie "U 249" marynarz Leon Bluszcz o wuju swoim pamiętał, zastanawiając się nawet, czy sprawdzi się wszystko, co mu wuj jeszcze w Polsce doradzał.

—Jak tam jest z tą dziewczynką z Portsmouth? — zagadnąłem kiedyś.

—Zakochałem się, proszę pana — odpowiedział marynarz Bluszcz. — Ale coś mi się zdaje, że nie będzie tak, jak mi wuj mówił i radził. Nie ożenię się tutaj. Ja, proszę pana, wrócę do domu. I tylko jednego pragnę. Żebym tam swoich przy życiu zastał. Pod Raciborzem walki ciężkie były. Gazety o nich pisały. A Racibórz od nas niedaleko. Ale niechby tam nawet wszystko z ziemią było zrównane, niechby nawet kamień na kamieniu nie został, bylebym tylko żywych mógł zastać i matkę i ojca i braci. A tej dziewczyny z Portsmouth to mi pewno szkoda będzie, ale to nic. Bylebym tylko żywych w domu zastał.

Przez chwilę milczeliśmy. Przerwał marynarz Bluszcz.

—Żywych i wolnych — dodał — jak byliśmy przed wojną.

Na morze kładła się mgła, chcąc przykryć słońce, świecące dzisiaj tylko na niebie — niedbale o serca ludzi, żyjących i dogasających w zniszczonym i biednym kraju, któremu wydarto wolność, któremu wydarto szczęście.

JANUSZ LASKOWSKI

Dywizjon "Obrońców Warszawy"

Dwadziescia i jedna noc

Dywizjon Ziemi Pomorskiej "Obrońców Warszawy" powrócił z Włoch do W. Brytanii i przezbraja się, oraz przeszkala na nowym sprzęcie. Jego przyszła praca to transport; transport ludzi, żywności, zaopatrzenia dla różnych krajów kontynentu europejskiego. Może — jeśli dojdzie wreszcie do porozumienia z Rosją — Dywizjon ten, zostanie użyty także do lotów między Anglią a Polską. Ta trasa stanowi przedmiot marzeń wszystkich załóg. Tych załóg, które powróciły pomimo ogromnych strat, jakie Dywizjon Obrońców Warszawy poniósł podczas swej służby "specjalnej" we Włoszech.

Służba "specjalna", lub raczej — zadania specjalne — polegały głównie na dokonywaniu zrzutów broni i amunicji, oraz żywności w tych krajach europejskich, które prowadziły walkę podziemną przeciw Niemcom. A pierwszym i najczynniejszym takim krajem była Polska.

Specjalny rozdział w działaniach dywizjonu zajmuje oczywiście okres Powstania w Warszawie. Wtedy działania te były najbardziej ożywione, najtrudniejsze, najbliższe sercom lotników polskich i — najkrwawsze dla załóg . . . Wtedy dywizjon poniósł najcięższe straty.

Odwiedziłem ten dywizjon, rozmawiałem z kilku załogami, i w krótkim cyklu powtarzam ich opowiadania z tego okresu. Zaczynam od majora-obserwatora Gr., który został przydzielony do dywizjonu w styczniu r. 1944, i — jakkolwiek sam nie brał bezpośredniego udziału w wyprawach do Polski, to jednak na zajmowanym wówczas stanowisku oficera łącznikowego, miał możność utrzymywania łączności z Krajem i śledzenia przebiegu całej akcji.

—"Nie latałem sam — mówi major Gr. — ponieważ powierzono mi funkcję oficera łącznikowego z dowództwem brytyjskim, po odbyciu przeze mnie dwóch kolejek lotów bojowych z baz w W. Brytanii. Ale przez moje ręce przechodziły wszystkie depesze z Polski i wszystkie raporty naszych załóg. No i oczywiście miałem ustne relacje od tych, którzy wracali z wypraw. Tylko niestety wielu nie wracało. Z nad Warszawy nie powróciło ogółem siedemnaście załóg . . ."

Siedemnaście załóg to istotnie bardzo wiele. To nie tylko ponad stu ludzi. To niemal dwa razy tyle, ile liczył dywizjon, który rozpoczął te działania w niepełnym składzie i dopiero w czasie ich trwania otrzymywał uzupełnienia personelu i samolotów.

Mieli 21 nocy "lotnych", to jest takich, podczas których można zaryzykować wyprawę, trwającą 11 lub 12 godzin. Przeważnie były to noce księżycowe, jasne. Ale zdarzało się nie raz, że trzeba było lecieć w złą pogodę, w mgłę, w burzę . . . Na całej ogromnej trasie z Włoch poprzez Adriatyk, Jugosławię, Węgry, Czechosłowację i Polskę warunki atmosferyczne rzadko kiedy mogą być pomyślne.

W ciągu tych dwudziestu jeden nocy wykonali 87 przelotów nad Warszawę. Wraz z nimi kilkakrotnie latały dwa dywizjony południowo-afrykańskie i jeden angielski. Ten ostatni stracił 3 załogi; dywizjony południowo-afrykańskie — w trzech wyprawach — 14 załóg.

—"Niemiecka obrona przeciwlotnicza w samej Warszawie i pod Warszawą była silna — ciągnie major Gr. dalej. — Ale najwięcej załóg ginęło w drodze powrotnej z nad Warszawy, już po wykonaniu zadania. Niemcy ściągnęli do południowej Polski wiele dywizjonów swoich myśliwców nocnych i poczynając od Radomia, aż po Tatry, stale atakowali naszych. Na maszynach postrzelanych nad Warszawą, po wielkim wysiłku, po locie trwającym już sześć lub siedem godzin — obrona przed myśliwcem jest szczególnie trudna. To też, z depesz krajowych wynika, że tam właśnie — pomiędzy Radomiem a Karpatami — dywizjon poniósł najboleśniejsze straty. Natomiast nad samą Warszawą, Niemcy zestrzelili tylko dwie maszyny. Jedna z nich spadła w okolicy Dworca Głównego, druga na Placu Krasińskich. Pewna ilość załóg musiała także skakać ze spadochronami, i część skaczących się uratowała. Ale więcej zginęło . . ."

Były takie noce, że nie wracało ponad 50% wysłanych samolotów. W dniu 27 sierpnia n.p. na sześć polskich, maszyn, które poleciały nad Warszawę, powróciła tylko jedna, w dodatku tak ciężko uszkodzona, że pilot roztrzaskał ją przy lądowaniu, a załoga tylko trafem wyszła z tego wypadku z życiem. Mimo to . . .

—"Mimo to — mówi major Gr. — nasz dywizjon leciał za każdym razem, gdy można było lecieć; nie opuścił ani jednej możliwości. Gdyby to było możliwe, nasze załogi latałyby co noc. Nawet kiedy im zabrakło samolotów — latali na pożyczonych z dywizjonów brytyjskich. Ginęli, lecz na ich miejsce przychodzili nowi, i znów latali. Zapał był ogromny: wierzyli, że uratują Warszawę i nie wahali się przed żadnym poświęceniem".

Istotnie — trzeba było wielkiego poświęcenia, wielkiej odwagi i wiary, żeby pełnić tę służbę. Loty po kilkanaście godzin; ogień zaporowy na trasie; góry; zmienna pogoda; stosunkowo duży ładunek i bardzo mała wysokość lotu, co wymaga ciągłego napięcia uwagi; a wreszcie — myśliwce niemieckie w drodze powrotnej. I to, że gdy nie wraca tyle załóg — jutro znów trzeba lecieć . . .

Generał Bór-Komorowski przesłał lotnikom specjalną depeszę, z podziękowaniem za tę ich ofiarną pracę. Oto treść depeszy:

"*Wspaniały wasz wysiłek umożliwia nam prowadzenie dalszej walki. Walcząca Warszawa dziękuje bohaterskim lotnikom i przesyła Im swe najwyższe uznanie. Oddajemy hołd poległym załogom. Podpisano: Generał Bór,* 16 *sierpnia roku* 1944".

Pierwszy lot kpt. Chmiela

Kapitan Roman Chmiel, jest nawigatorem jednej z załóg Dywizjonu Obrońców Warszawy. Prawdę mówiąc — nie wiem, czemu przypisać, że ten człowiek żyje: własnej jego odwadze i determinacji, czy szczęściu pilota i załogi, w której latał. Tak, czy inaczej — cała ta załoga wróciła z Włoch do W. Brytanii, i zamierza latać nadal — obecnie już w służbie transportowo-lotniczej.

Kpt. Chmiel ma za sobą dwie kolejki lotów bojowych, siedemnaście razy był nad Polską, trzy razy nad Warszawą. O pierwszym swoim locie nad Warszawą, opowiada w słowach oszczędnych i takim tonem, jakby chodziło o zwykłą wycieczkę podmiejską, nie bardzo ciekawą i pozbawioną wszelkich emocji.

—"Polecieliśmy wtedy w dość niepewną pogodę, w sześć maszyn. Od brzegu jugosłowiańskiego zaczęła się mgła, wprawdzie niezbyt gęsta, ale sięgająca od ziemi do wysokości sześciu tysięcy stóp. Dlatego prowadziłem pilota na astronawigację — według gwiazd. Dopiero nad Polską, już za Karpatami warunki atmosferyczne poprawiły się znacznie, co zresztą pomogło nie tylko nam, ale także myśliwcom niemieckim. Widzieliśmy, jak zaatakowali jedną z naszych załóg i zapalili jej samolot w powietrzu. My szliśmy znacznie niżej, więc nie dostrzegli nas na tle ziemi i jakoś szczęśliwie dotarliśmy do Pilicy, którą łatwo zidentyfikowałem na mapie. Stamtąd już widać było łunę płonącej Warszawy".

Tu pilot uzupełnia aż nazbyt skromne opowiadanie swego nawigatora "drobnymi" szczegółami: artyleria przeciwlotnica strzelała do nich bardzo silnie po drodze — w Jugosławii, nad Dunajem i w pobliżu Bochni w Polsce; walka, którą widzieli w powietrzu nad granicą polską, skończyła się zestrzeleniem polskiej załogi przez myśliwców niemieckich: samolot polski w płomieniach runął w dół.

Od Pilicy pilot zszedł jeszcze niżej i na wysokości 700 stóp wziął kurs od Piaseczna na Wilanów, aby dopaść Wisły w pobliżu Służewa, gdzie artyleria niemiecka znów silnie ostrzelała maszynę.

—"Stamtąd już wyraźnie widzieliśmy Warszawę — mówi dalej kpt. Chmiel. — Całe miasto, jak długie i szerokie — w ogniu, w płomieniach. Tylko gdzie niegdzie ciemne plamy rejonów zajętych przez Niemców. Straszny widok; naprawdę straszny! Szliśmy bardzo nisko, bo prała do nas artyleria i karabiny maszynowe. Widzieliśmy, jak smugi pocisków zamykały się ponad samolotem, a reflektory z Pragi i z Mokotowa stale trzymały nas w swoim świetle. Nad Wisłą lecieliśmy poniżej poziomu mostów, nad którymi pilot przeciągał maszynę i znów schodził w dół.

Mieliśmy zrzucić zasobniki z bronią, amunicją i żywnością na placu Krasińskich. Poprzez dym rozpoznałem ulice. Skręciliśmy za mostem Kierbedzia w lewo i natychmiast pilot podciągnął maszynę wyżej — do zrzutu. Zasobniki zaopatrzone są w spadochrony, które mogą rozwinąć się tylko wówczas, jeśli zrzucane są z odpowiedniej wysokości. Tę wysokość udało się nam uzyskać akurat na czas: w chwili gdy wchodziliśmy nad plac Krasińskich. Cała południowa strona domów była tam w płomieniach, ale wiatr odpędzał dym i cały plac był dobrze widoczny. Jestem pewien, że zrzuciliśmy cały ładunek we właściwym miejscu".

Natychmiast po zrzucie pilot znów obniżył lot do granic możliwości, bo Niemcy skierowali cały ogień obrony przeciwlotniczej na maszynę doskonale oświetloną i widoczną ze wszystkich punktów Warszawy. Kapitan Chmiel opowiada, że w samolocie było pełno dymu od pożarów i gorąco od płomieni wzbijających się na kilkanaście metrów w górę, ponad dachy budynków.

Pilot skierował maszynę wzdłuż toru kolejowego, na Pruszków i Skierniewice. Po drodze, nad Fortem Bema, raz jeszcze ostrzelał ich niemiecki pociąg obrony przeciwlotniczej, na co odpowiedzieli ogniem z własnych karabinów maszynowych. A w drodze powrotnej, na Podkarpaciu natrafili na dopalające się jeszcze resztki tego samolotu, który został w ich oczach zestrzelony, gdy lecieli na Warszawę.

Nazajutrz radiostacja Armii Krajowej podała, że na plac Krasińskich zrzucono w nocy 12 sierpnia zaopatrzenie drogą lotniczą dokładnie o tej godzinie, którą odnotował w książce pokładowej kpt. Chmiel. Był to niestety jeden z niewielu zrzutów tej nocy: spośród sześciu wysłanych załóg powróciła tylko ta jedna . . .

PORUCZNIK HERBERT

Skrzynka pocztowa

LIST SZKOTKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Choć wiem, że piszę bardzo źle po polsku, ja spodziewam się, że mój list będzie mógł ukazać się w "Polsce Walczącej", jeśli jest czytelny.

Jestem Szkotką i po wojnie ja chcę jechać do Polski. Jestem nauczycielką i ja będę nauczycielką języka angielskiego w szkołach polskich. Ja czytałam list pani E. Risley-Hutt /nr. 20 "Polski Walczącej"/ i drugiego tygodnia ja czytałam odpowiedź pana Grunwalda /nr. 22/.

Ja chciałabym bardzo zapewnić pana Grunwalda i wszystkich Polaków w tym kraju i na obczyźnie, że pani Hutt nie jest sama, kiedy ona popiera ustanowienie niepodległości i wolności w Polsce. Pani Hutt napisała to co myśli dużo ludzi w Anglii i w Szkocji. Będziemy wstydzić się, jeśli Polska nie będzie zupełnie wolna.

Waleczna ludność polska, na obczyźnie i w kraju, musi mieć absolutną, osobistą i narodową niepodległość.

Jeden Polak mi mówił: "Ty jesteś bardzo dobrą przyjaciółką Polski". Cieszę się, że mogę odpowiedzieć: "Ja będę zawsze i ja nie jestem sama". Polska ma dużo przyjaciół w Anglii.

Niech żyje Polska!

Małgorzata

/nazwisko i adres są znane redakcji, nie ogłaszamy ich na prośbę autorki listu/.

LIST ZE STANÓW ZJEDN.

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę do Pana, żeby Panu i wszystkim żołnierzom polskim w Wielkiej Brytanii donieść, my Amerykanie polskiego pochodzenia, budzimy sumienie Stanów Zjednoczonych.

"Polsko służyliśmy Tobie w czasie potrzeby i staniemy każdej chwili do apelu, gdy tego od nas zażądasz". Wiemy, że dzisiaj nas potrzebujesz.

Polityczne szalbierstwo decyzji w Jałcie na Krymie odbiło się ponurym echem wśród Polonii w Stanach Zjednoczonych. Nie tracimy jednak nadziei i staramy się budzić sumienie naszych współobywateli Stanów Zjednoczonych, aby stanęli razem z nami i bronili Polski, kraju naszych ojców, dziadów i pradziadów, któremu zagraża niewola ze strony wschodniego sąsiada zaborcy.

Przez Kongres Polonii Amerykańskiej bronimy Polski a przez Radę Polonii niesiemy pomoc naszym rodakom rzucony losem wojny po różnych częściach świata.

Zjednoczeni Wspólnym Wysiłkiem Wypłyniemy z Wrogich Odmętów



Wycinek dołączony do listu

Zjednoczeni wspólnym wysiłkiem zwyciężymy. Nasi przedstawiciele stanu w San Francisco, Californii czynią wszystko, aby sprawie polskiej dopomóc.

Musimy wytrwać!

"*Błogosławieni, którzy w czasie gromu*
nie utracili równowagi ducha,
którym na widok spustoszenia i złomu
nie płynie z serca rozpacz głucha,
którzy wśród nocy nieprzebytych cieni
nie stracili wiary w blask rannych promieni.
Błogosławieni".

Serdeczne życzenia dla wszystkich Polaków w Anglii.

Wiktor A. Wojciechowski,
381, *St. Joes Avenue, Trenton* 9, *N.J., U.S.A.*

NIE CZAS ROZPACZAĆ!

Szanowny Panie Redaktorze,

Pierwszą gazetą, jaką otrzymałam po upadku Niemiec jest "Polska Walcząca" z Londynu. W nr. 19 czytam: "Po pięciu latach trudów, po ofierze krwi . . . nie doczekaliśmy się wolności dla swoich, ni łaski powrotu dla siebie . . . Wierzymy, że zwycięski naród brytyjski będzie stał przy nas, żołnierzach kraju, który nie doczekał się jeszcze sprawiedliwości".

Tak czujemy my wszyscy Polacy, gdziekolwiek byśmy byli, czujemy straszną krzywdę, która nam się dzieje.

Lecz rozpaczać i szlochać nie czas. Również nie mamy prawa, założywszy ręce, pokładać nadziei w innych, czy to w Londynie, czy w San Francisco, czy jeszcze gdzieś. Nasza niezrównana Armia do tej pory szła zwycięsko; wszystko co mamy, wszystkie sukcesy zawdzięczamy jej. Lecz stanąć nad jej wawrzynami i czekać na rozgrywkę nie czas.

Dziś kolej na Was Panowie redaktorzy, dziennikarze, literaci, poeci. Armia dziś Wam dała swój miecz. Teraz Wasza kolej. Musicie pisać, krzyczeć, bić w dzwony, o naszej krzywdzie, nie tylko w Londynie i S. Francisco, ale w każdym kraju, w najdalszym zakątku świata musicie poruszyć sumienie, bo sprawiedliwość jest na świecie; trzeba ją tylko wykrzesać. A więc zbiórka — Naród jest z Wami.

Casablanca 1.6.1945 r.

Stanisława Strehlan

JESZCZE O OŚWIĘCIMIU

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu opowiadania o Oświęcimiu /nr. 23, 24, 25, 26 "Polski Walczącej"/, chciałbym przesłać parę moich uwag.

Otóż napis na głównej bramie obozu był nie: "*Durch Arbeit zur Freiheit*", ale "*Arbeit macht frei*".

Ten mały niepozorny człowiek nie był komendantem obozu, ale t.zw. *Lagerführer*. Kierownik obosu i nazywał się Altmayer, w randze S/S *Hauptsturmführer*. Komendantem przez długi czas był Schwarz, tej samej rangi co poprzedni. Przeniesiony on został później do Dachau-Gusen. Na jego miejsce przyszedł sławny z okrucieństw Hössler.

Nie zgadzam się ze zwrotem: "koło kuchni zaczynał się gromadzić tłum. Wydawano śniadanie". Byłem w tym obozie przeszło dwa lata i ani razu nie jadłem śniadania. Nie przypominam sobie w ogóle, żeby kiedykolwiek dawano coś do jedzenia rano. Rano wydawano jedynie herbatę i to nie przed kuchnią, ale na poszczególnych blokach. Początkowo dawano jeść tylko raz na dzień a to po wieczornym apelu. Litr buraczannej zupy i 250 gr. niewypieczonego chleba. Więźniowie zjadali wszystko od razu i na drugi dzień chodzili głodni. Śmiertelność z tego powodu była wielka, wydajność zaś pracy bardzo mała. Dlatego później i zaczęto zupę wydawać i w południe.

Jeszcze jedna uwaga. Czyż nie byłoby lepiej zamiast pisać o cechach ludzi słabych, zniewieściałych pokazać istoty piękne, o silnej, nieugiętej woli i charakterach twardych, jak stal? Wskrzesać to ciche bohaterstwo narodu naszego tam w kraju. Pokazać ludzi, którzy nie zawahali się iść w zapasy z szatanem i nie ulękli się piekła, ludzi, na których budować możemy.

Lub z drugiej strony zobrazować charaktery zbirów niemieckich. Wyciągnąć na światło dzienne ich wszystkie okrutne metody i sposoby, jakimi się posługiwali.

Albo uchylić rąbka tajemnicy owej słynnej "Brzezinki", gdzie działy się okropności nie mające sobie równych w historii wieków. Gdzie nie tysiące, ale miliony ludzi gazowano i palono za to tylko, że byli zbyteczni w gospodarce niemieckiej — dzieci, ułomni, starcy, staruszki, których trzeba było darmo żywić. Pokazać światu jeszcze jeden haniebny pomnik hitleryzmu.

Z poważaniem

Adam Góral
7, *Belgrave News North, London S.W.*1.

Poradnik żołnierski

Dodatek za wysługę lat.

Wobec otrzymywania licznych zapytań w sprawie wypłaty w Wojsku dodatku za wysługę lat podajemy do wiadomości zainteresowanych żołnierzy wyjaśnienie otrzymane z M.O.N.: 1/ Władze Brytyjskie /*War Office*/ wyraziły zasadniczo zgodę na wypłacenie tego dodatku z ważnością od 1.IX.44. 2/ Dodatek ten będzie wypłacony po przydzieleniu na ten cel kredytów przez *War Office*. Dotychczas *War Office* nie oddało jeszcze do dyspozycji M.O.N. odpowiedniej kwoty.

Kapitan M.S.

Być może, że były dawniej wypadki dopuszczania do lądowania w Stanach Zjednoczonych wojskowych polskich bez wiz wjazdowych, zapewniam jednak Pana Kapitana, że wiza wjazdowa obecnie jest potrzebna dla każdego wojskowego, który nie chce spędzić parę dni w areszcie urzędu imigracyjnego na Ellis Island w New-Yorku.

St. sierż. K.M.

List Pana jest wzruszającym obrazem walki o "lepsze jutro". Nie widzę jednak powodu dlaczego po odkomendorwaniu na studia żyje Pan w "skrajnej nędzy", utrzymując się jedynie z żołdu. Przysługują Panu: 1/ £20 miesięcznie łącznie z żołdem na utrzymanie, o ile nie otrzymuje Pan utrzymania w naturze; 2/ zwrot opłat szkolnych, ile jakiekolwiek Pan ponosi; 3/ zwrot kosztów poniesionych na pomoce naukowe.

W sprawie tej należy niezwłocznie zwrócić się piśmiennie do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecienia Publicznego /Adres: Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1/.

Kpr. S.S.

Obecnie nie istnieją możliwości wymiany rubli sowieckich ani za pośrednictwem banków angielskich, ani przez Władze Polskie, czy Alianckie.

P.ZM..

Wyjazd na teren Niemiec możliwy jest obecnie wyłącznie dla osób wojskowych w sprawach służbowych.

Sierż. Z.M.

Niestety nie istnieją jeszcze żadne możliwości udzielania urlopów na Daleki i Bliski Wschód.

Mjr. C.W.

Jako oficer czasu wojny nie może Pan być powołany do Szkoły Podchorążych, gdyż przyjmowani są do niej tylko szeregowi. Należy spodziewać się, że wyjdzie zarządzenie, które ustali, czy i na jakich warunkach oficerowie czasu wojny będą mogli być przemianowani przy demobilizacji na oficerów rezerwy, wzgl. oficerów służby stałej.

TOWARZYSZ BRONI

Lotnictwo Polskie walczy nad Francją

Podobnie jak wojsko lądowe, na ziemi francuskiej, od jesieni 1939 do wiosny 1940 roku — odtwarzać się zaczęło i lotnictwo polskie. Podstawą prawną stała się zawarta dnia 4 stycznia 1940 roku polsko-francuska umowa lotnicza. Postanawiała ona tworzenie lotnictwa polskiego we Francji. Zgodnie z brzmieniem artykułu V wymienionej umowy — przewidywano we Francji sformowanie: dwu dywizjonów myśliwskich, jednej lub dwu eskadr współpracy, oraz jednostek kadrowych, uzbrajanych w miarę dysponowania personelem i sprzętem.

10 stycznia 1940 roku udaje się pierwsza polska eskadra myśliwska na kurs do Montpellier, który początkowo miał trwać trzy miesiące. Skrócono go do jednego miesiąca, gdy Francuzi przekonali się z jakim ludzkim materiałem lotniczym mają do czynienia.

W ciągu dalszych kilku miesięcy, prowadzona jest intensywna praca przeszkoleniowa. Przez wszystkie zielone granice napływają lotnicy z Polski. Na ziemi francuskiej spotykają się starzy przyjaciele z pułków lotniczych, które istniały w Polsce. Odżywają dawne tradycje koleżeńskiej i bojowej wspólnoty.

Piloci, którzy najwcześniej zostali przeszkoleni w Montpellier, udali się też najwcześniej na staż frontowy. Odejście to nastąpiło dnia 26 marca 1940 roku. Odchodząca eskadra otrzymała nowe samoloty typu "Morane 406". Na uroczystość przybył Premier Rządu R.P. i Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski, oraz delegacje francuskiego lotnictwa.

W miesiącu maju 1940 roku napływ lotników polskich do Francji okazał się tak liczny, iż musiano rozszerzyć projektowane ramy organizacyjne. Dywizjony myśliwskie zwiększono o dwa dalsze, oraz postanowiono zorganizować dwa dywizjony bombowe.

Praca organizacyjno-szkoleniowa lotnictwa polskiego we Francji postępowała powoli naprzód. W tym samym czasie Niemcy uderzyły na Norwegię, a następnie — na Belgię i Holandię. Nie starczyło zbyt wiele czasu na akcję. W drugiej połowie czerwca 1940 roku nastąpiło wojskowe załamanie się Francji.

Niemniej, polscy lotnicy, a więc piloci myśliwscy, brali udział w działaniach bojowych. Krótko one trwały, ale okryły sławą polskie znaki lotnicze.

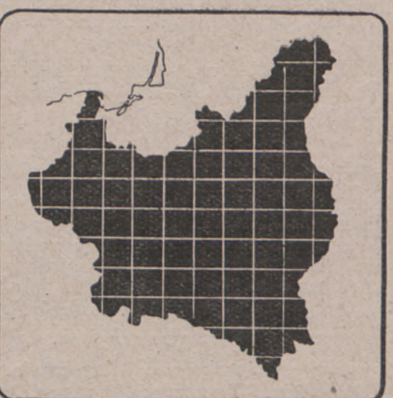
Rok 1940 był rokiem, w którym lotnictwo sojusznicze musiało ustępować sprzętowi i doświadczeniu załóg "Luftwaffe". Polacy we Francji, mimo, że rozporządzali sprzętem gorszym od sprzętu niemieckiego — umiejętnościami lotniczymi, wyszkoleniem, wartością bojową, duchem walki potrafili skutecznie przeciwstawić się atakującemu ich nieprzyjacielowi.

Zadali oni Niemcom nad Francją straty poważne, przeszło trzykrotnie większe od strat własnych. Zestrzelili 55 samolotów nieprzyjacielskich, tracąc 15 własnych pilotów.

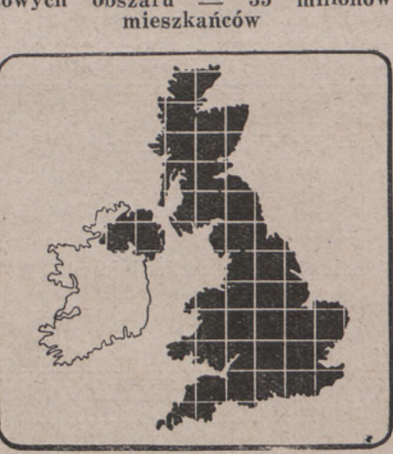
Ogółem — myśliwców polskiego lotnictwa we Francji było w akcji 136. Całość personelu latającego wynosiła 500 osób.

Przekonacie się z następnego omówienia, iż dopiero w Wielkiej Brytanii, lotnictwo polskie mogło zajaśnieć pełnym blaskiem. I zajaśniało, zapisując złotymi głoskami karty swego udziału w wojnie.

Polska i Wielka Brytania



150 tysięcy angielskich mil kwadratowych obszaru — 35 milionów mieszkańców



95 tysięcy angielskich mil kwadratowych obszaru — 47 milionów mieszkańców

Te dwie mapki pochodzą z książeczki "Poland" napisanej przez Alcuin'a. Na 60 stronicach druku daje ona w skrócie wszystkie najważniejsze wiadomości o naszym kraju, o jego życiu przed wojną i udziale w wojnie. Jeśli chcesz swoim szkockim znajomym dać prawdziwy obraz Polski, ofiaruj im tę książeczkę.

Organizacja podziemna Kraju

Od czasu do czasu, tu i ówdzie, spotykamy w swoich szeregach kolegów, którzy, najdziwaczniejszymi nieraz kolejami losów, dotarli do Szkocji z Kraju. Niewątpliwie, opowiadają oni Wam wiele o Armii Krajowej i o powszechnej patriotycznej postawie Kraju. Prawdopodobnie zdołają Was poinformować, że i ogólna postawa naszych rodaków w Kraju, i konspiracyjnie tworzone Siły Zbrojne — wypływały z organizacji Państwa Podziemnego.

Gdy jesienią 1939 r., ucichały ostatnie odgłosy walki z przemocą wroga — już wówczas narastało, tworzyło się Państwo Podziemne. Zrazu była to organizacja słaba. Wolność schodząca w podziemia szukała poomacku nowych form. Na powierzchni zapanowała brutalna siła wroga, bezwzględna i okrutna w swoich przejawach. A w podziemiach powstawały formy organizacyjne Polski, które miały przetrwać i przetrwały — niemiecką okupację.

Jednym z takich kierowników Państwa Podziemnego był przez pięć lat okupacji, obecny Premier Rządu p. Tomasz Arciszewski. Kierownikami Państwa Podziemnego było tych piętnastu działaczy, którzy, jako kierownicy Polski Podziemnej, zostali podstępnie wywiezieni przez władze sowieckie, bezprawnie postawieni przed sąd i bezprawnie skazani.

Działacz podziemny, przybyły do Wielkiej Brytanii, opowiadał mi jak powstawały pierwsze zręby utajonego Państwa Polskiego. Zręby te okazały się mocne i trwałe. Stanął na nich cały gmach państwowy.

Pomimo niezliczonych ofiar, poniesionych w bezkompromisowej walce z Niemcami — zachowana została po dni nasze ciągłość pracy tajnego Państwa Polskiego. Działał więc i działa Delegat Rządu na Kraj, będący równocześnie wicepremierem na Kraj legalnego Rządu R.P. oraz przewodniczącym Krajowej Rady Ministrów. Mandaty powyższe piastowali i piastują ludzie wybitni, o gruntownym wyrobieniu społecznym, charaktery twarde, prawdziwi przywódcy swego narodu, reprezentujący podstawowe kierunki myśli politycznej społeczeństwa: socjalistyczny, ludowy, chrześcjańsko-demokratyczny i narodowy.

Państwo Podziemne zorganizowano tak, iż naród pod okupacją wykonywał wszystkie zalecenia przywódców podziemnych. Całe życie narodu pod okupacją objęte było organizacją podziemną. Pośród tajnych departamentów funkcjonowały nawet takie, zdawało by się, trudne do utrzymania w warunkach okupacji, jak przykładowo: Przemysł i Handel, Komunikacja, Oświata.

Organizacja Państwa Podziemnego stała się stwierdzeniem woli narodu do rzeczywistej wolności i niepodległości. Stała się wspaniałym egzaminem naszych uzdolnień organizacyjno-społecznych.

Miała też ogromne znaczenie dla toczącej się wojny. Istnienie organizacji działającej z ukrycia zmuszało Niemców do trzymania w Polsce wielkich sił wojskowych, które inaczej byłyby użyte na frontach wojennych. Trzymanie i powiększanie tych sił stawało się z biegiem lat nieodzowne w miarę wzrostu siły Armii Krajowej. Atakowała ona zwłaszcza linie zaopatrzenia prowadzące na wschód, na front niemiecko-rosyjski.

Flagi w dniu zwycięstwa

Zakończenie działań wojennych przeciwko Niemcom, w następstwie bezwarunkowej kapitulacji nieudałych kandydatów na naród panów i władców świata — świętowano w Wielkiej Brytanii uroczyście. We wszystkich częściach kraju, a więc i w Szkocji, z okazji Dnia Zwycięstwa — *Victory Day* — wywieszono flagi na domach. Przeważnie były to flagi brytyjskie, chociaż nie brakło i amerykańskich, oraz flag innych sojuszników.

Z pośród flag brytyjskich, które wywieszano — najczęściej był to popularnie zwany *Union Jack*. Jest to brytyjska flaga państwowa, zawierającą trzy podstawowe kolory: czerwony, niebieski i biały.

Jeśli uważniej wpatrzycie się w *Union Jack*, to dostrzeżecie w materii sztandaru trzy krzyże. Połączenie tych krzyży wyobraża jedność państwową wszystkich krajów Zjednoczonego Królestwa.

Pierwszy krzyż, prosty, czerwony na białym tle — jest Krzyżem Świętego Jerzego, patrona Anglii. Krzyż ten jest angielskim wkładem do flagi Zjednoczonego Królestwa.

Szkocję reprezentuje Krzyż Świętego Andrzeja. Jest to krzyż, zgodnie z tradycją męczeńskiej śmierci Św. Andrzeja za wiarę, skośny. Szkocja nie jest jedynym krajem, który czci krzyż Św. Andrzeja, lecz w Szkocji widzi się ten krzyż biały na tle ciemno-niebieskim.

Trzeci krzyż jest to Krzyż Świętego Patryka patrona Irlandii — skośny, czerwony krzyż. Aczkolwiek w dawnym związku ze Zjednoczonym Królestwem pozostała do dziś jedynie północna część wyspy irlandzkiej, Northern Ireland, inaczej Ulster, jednak w dalszym ciągu, tradycyjnie trzy krzyże: św. Jerzego, św. Andrzeja i św. Patryka symbolizują jedność Zjednoczonego Królestwa. I być może stąd brytyjska flaga państwowa nazywa się *Union Jack*.

Staro-szkocką flagę stanowi krzyż Świętego Andrzeja — St. Andrews Cross. Jest to znak bardzo dawnej, bo bodaj że 11-go stulecia sięgającej państwowości i odrębności szkockiej. Szkoci są do niego bardzo przywiązani.

Od czasu unii angielsko-szkoskiej, królowie nadali Szkocji inną flagę. Jest to lew na złotym polu o czerwonej obwódce.

Jeśli uważnie obserwowaliście flagi, wywieszone w dniu zwycięstwa — niewątpliwie musieliście dojść do wniosku, że Krzyż Świętego Andrzeja idzie tuż po *Union Jack*.

Z miejsc postoju

Dowódcą Scottish Command /Szkockiego Okręgu Wojskowego/ został gen. Neil Methuen Ritchie. Oto kilka szczegółów o gen. Ritchie. Wstąpił do armii, do słynnego szkockiego pułku Black Watch w grudniu 1914. Bił się na polach Francji, Belgii i Mezopotamii i był ranny. W czasie tej wojny awansował do stopnia podpułkownika, uzyskując odznaczenia D.S.O. i M.C. a następnie dowodząc osobistym pułkiem królewskim. Podczas drugiej wojny światowej gen. Ritchie dowodził kolejno obu sławnymi dywizjami szkockimi: 51 /Highlands/ i 52 /Lowlands/. Na Bliskim Wschodzie dowodził przez pewien czas 8-mą Armią, a podczas działań inwazyjnych na kontynencie europejskim, 12-ym korpusem brytyjskim. Za udział w tych ważnych bojach został odznaczony C.B.C.B.E. oraz Krzyżem Virtuti Militari.

Już od kilkunastu miesięcy pięknie się rozwija akcja nazywana krótko: "Koledzy — Kolegom". Jest to akcja koleżeńska. Organizuje ona pomoc, jakiej udzielają żołnierze polscy, przebywający w Szkocji swoim kolegom — rannym na polach bitew. Na terenie 4 Dywizji Piechoty działa obecnie 12 Komitetów Opieki nad rannymi. Otaczają one opieką 29 szpitali w Szkocji.

Pomoc dla Polaków w Niemczech pojęta została wśród żołnierzy w Szkocji jako obowiązek. Obowiązek ten jest wykonywany sumiennie, systematycznie, i w miarę upływu czasu gromadzi sumy coraz większe, bo i potrzeby są zresztą coraz większe. Na terenie 4 Dywizji Piechoty zebrano do dnia 15 maja £3344 sh.19 d.9 i pół. Na dzień 27 maja suma ta wzrosła poważnie, osiągając £5486 sh.10 d.4. Na dzień 1 czerwca zbiórka na ten cel wykazała sumę £8553 sh.4 d.11. Zbiórka trwa w dalszym ciągu. Jest to sprawdzian poczucia obywatelskiego szeregów żołnierskich w Szkocji.

W 4 Dywizji Piechoty panuje ożywione życie sportowe. W wyniku rozgrywek piłkarskich o mistrzowstwo Dywizji do półfinału weszły następujące drużyny: I Grupa: 4 Baon CKM i 4 baon saperów. II Grupa: 9 pułk Ułanów Małopolskich i 14 pułk Artylerii Lekkiej.

1 Brygada Grenadierów, stacjonowana w Szkocji, uroczyście świętowała rocznicę ostatniej bitwy, jaką stoczyła dnia 21 czerwca 1940 roku 1 Dywizja Grenadierów, bijąc się o wolność Polski w kampanii francuskiej 1940 roku.

25 Pomorski Baon Piechoty rozpoczął wydawanie własnego pisma, odbijanego na powielaczu. Pismo nosi tytuł "Mewa" i na czterech kartkach barwnie odzwierciadla żołnierskie życie Baonu.

"Gazetka 16 Samodzielnej Brygady Pancernej", opatrzona słynnym Smokiem z Żórawicy /godło pierwszego baonu broni pancernej w Polsce przedwojennej/, przynosi ostatnio materiały z pobytu w Brygadzie Naczelnego Wodza.

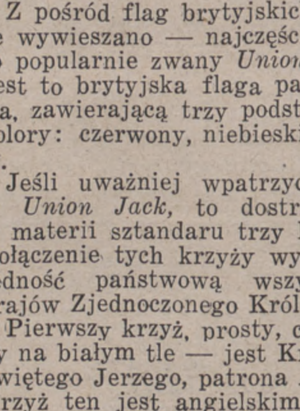
Godz. 12. Wychodzi z samochodu. Średniego wzrostu, szczupły, o twarzy pociągłej, na której czas nie zdążył zatrzeć śladów ciężkich dni. Człowiek — zdawało by się — jak wszyscy inni, który jednak myślał głębiej niż wielu, cierpiał więcej, walczył uparciej. Człowiek, który prowadził Naród w najtrudniejszych chwilach, oto z miłym uśmiechem na ustach przybył — Generał Bór Komorowski.

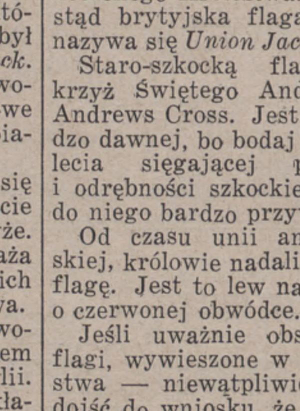
Prof. Stefania Niekrasz /ochotniczka PSWK/ dała w Ośrodku Ćwiczebnym Ozdrowieńców koncert muzyki Chopina dla żołnierzy Armii Krajowej. Niektórzy ze słuchaczy po raz ostatni słyszeli muzykę Chopina podczas powstania warszawskiego, we wrześniu 1944 roku, w Konserwatorium Stolicy przy ul. Okólnik . . .

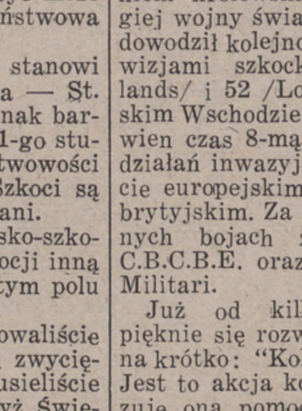
W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

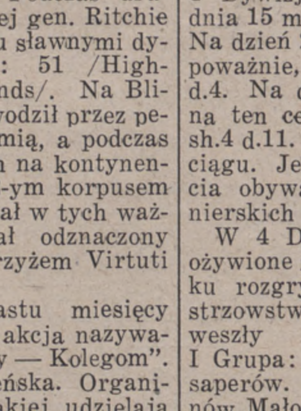
Herby miast polskich

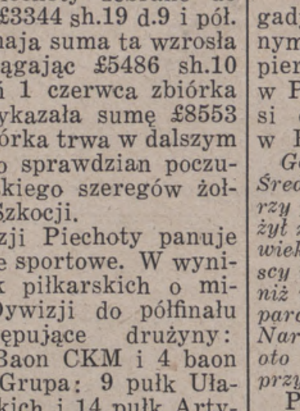
rysował Jan Poliński

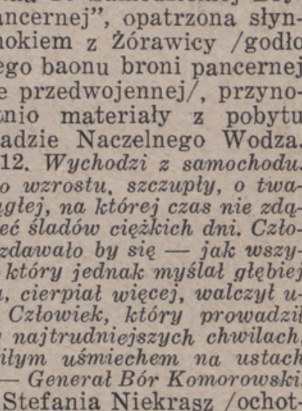












NA FUNDUSZ 14 WLKP. DYW.

Załączam P.O. na sh. 10 z prośbą o przekazanie na fundusz Wdów i Sierót po poległych żołnierzach 14 Wlkp. Dyw. Piech. pod wezwaniem Żołn. 55 p.p. Strzel. Wlkp.

Ppłk. J.S.

KOMUNIKAT

W związku z konkursem na tytuł broszury, ogłoszonym w nr. nr. 17 i 19 "Polski Walczącej" z dn. 28.IV. i 12.V.45 r. — Komisja Konkursowa w składzie: mjr. A. Czudowski, mjr. T. Sadowski i por. J. Żmigrodski, po rozpatrzeniu 47-u nadesłanych projektów, przyznała 16.VI. nagrody:

A. Nagrodę I: £10: st. sierż. Aleksander Anderman na tytuł: "Bez patosu".

B. Nagrody II i III: po £5: kapr. Mieczysław Krystyniak za tytuł: "Charakter Polaka" /podtytuł: "Polak na tle życia narodów Zachodu"/; strz. Benedykt Grzegorski za tytuł: "Nieznani Bohaterowie" /podtytuł: "Armia Krajowa w latach 1939-1944/;

C. 10 Nagród po £1: sap. Stanisław Gordon za tytuł: "Gdy Spadochroniarz szczęśliwie ląduje"; sierż. Józef Gubowski za tytuł: "Skrzydlaty odwet"; strz. Zygfryd Winniewski za tytuł: "Zwycięskim Szlakiem II Korpusu"; plut. Staszyszyn za tytuł: "Nasi Pancerniacy w Normandii"; strz. Tadeusz Kernberg za tytuł: "Bandera z Trupią Czaszką"; st. mar. Stanisław Skowron za tytuł: "Marynarka Handlowa dzisiaj i po wojnie"; szer. Stanisław Schaetzel za tytuł: "Czego należy nauczyć się od Brytyjczyków"; sap. Edward Najdowski za tytuł: "Sprawiedliwości staje się zadość"; szer. Longin Kocur za tytuł: "My a Polska przyszłości"; st. sap. Maksymilian Masłowski za tytuł: "Rola Polski w dziejach Europy".

Nagrody te zostaną przesłane pocztą na podane adresy.

6-go lipca b.r. o godz. 19.30 w hall'u brytyjskiej Y.M.C.A. w Edynburgu, St. Andrews Street, odbędzie się zebranie organizacji politycznej "Niepodległość i Demokracja", p.t. OBRONA NIEPOLEGŁOŚCI. Przemawiać będą: Jerzy Jur, Bolesław Łaszewski, Zygmunt Nagórski, jr. Wstęp wolny.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £912

Enclosed please find Money Order /£1/ as donation for your fund.

/Miss/ B. Griffiths,
63, Victoria Rd., Newton-le-Willows, Lanc.

* * *

Enclosed you will find a Money Order for £49.10.0 which I should like you to hand over to the "Relief Fund for Poles in Germany". This money is the result of a dance which I ran with the help of the 4th Warsaw Rifle Battalion. We hope to hold some more functions in the near future for the same fund.

Thanking you in anticipation for your trouble,

I am,
Yours faithfully,
Helen Wallace Ross

* * *

Strzelcy spad. z Garnizonowej Izby Chorych z Spad. Ośrod. Zap. Bieniaszewski, Sulimierski i Pisarek złożyli w dn. 21.VI. 13 sh. /trzynaście szylingów/ na pomoc Polakom w Niemczech.

Oficer Opieki,
Por. F.

* * *

Na Polaków w Niemczech sh.6 d.1, odebrane chorym grającym w karty.

Dr. Ł.S.

Zamiast kwiatów na trumnę Księcia Seweryna Czetwertyńskiego £1.10.0 /słownie: jeden funt i dziesięć szylingów/ na Polaków w Niemczech.

Gen. Haller

* * *

W załączeniu przesyłam British Money Order na kwotę £6.4.4 zebraną przez szeregowych Sam. Dyonu Art. Plot. C. w dniu 21.6.45 r.

Suma ta przeznaczona jest na byłych polskich jeńców w obozach niemieckich.

D-ca Sam. Dyonu Art. Plot. C.
/—/ I.M., kpt. art.

* * *

Na Polaków w Niemczech 1 sh.

Bezimiennie

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £2.10.0 na Polaków uwolnionych z Niemiec.

Wanda Dudko

* * *

Zamiast kwiatów na grób naszej ukochanej cioci ś.p. Stanisławy Pflanzer, zmarłej w Teheranie w dniu 14 maja 1945 — przesyłamy gwineję na pomoc dzieciom, uwolnionym z jarzma niemieckiego.

Wojtek i Jędrek S.

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £10 sh. 15 /dziesięć funtów, piętnaście szylingów/, zebraną w drodze dobrowolnych datków przez podoficerów i szeregowych 16 Kompanii Warsztatowej dla Polaków uwolnionych z obozów niemieckich.

D-ca 16 Kompanii Warsztatowej
W. P., rtm.

* * *

Przesyłam na rzecz pomocy Polakom w Niemczech £1.17.9 /słownie: jeden funt, siedemnaście szylingów i dziewięć pensów/, zebrane w czasie imprezy zorganizowanej przez panie szkockie w świetlicy żołnierskiej.

Of. Opć Sp. Ośr. Zap.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £75.8.2 /słownie: siedemdziesiąt pięć funtów, osiem szylingów i pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £912.10.9 /słownie: dziewięćset dwanaście funtów, dziesięć szylingów i dziewięć pensów/.

FUNDUSZ SPOŁECZNY WOJSKA

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych otrzymują cały szereg przesyłek z Dominiów Brytyjskich, od Polonii zamieszkałej w Stanach Zjednoczonych A.P., wreszcie od Polonii rozsianej po całym świecie. Są to paczki z Brazylii, Chile, Argentyny, Indii, Afryki i t.d. Paczki te zawierają wiele przedmiotów, posiadających dużą wartość dla żołnierza, jak papierosy, cygara, maszynki do golenia, szczoteczki i pasty do zębów, wreszcie konserwy rybne i mięsne, kompoty, soki owocowe i t.p.

Żołnierze niejednokrotnie wyrażali życzenia, aby te dary, przesyłane dla wojska, zostały przeznaczone dla kolegów zwolnionych z niewoli niemieckiej. Fundusz Społeczny Wojska wziął na siebie wykonanie tych życzeń. Paczki są przepakowywane, segregowane według rodzaju artykułów i wysyłane natychmiast drogą lotnicza na teren Niemiec.

W ten sposób żołnierz nie tylko swą bezpośrednią ofiarą pieniężną, ale i pośrednio przyczynia się do ulżenia doli swych mniej szczęśliwych towarzyszy broni. Inicjatywa ta będzie chętnie widziana wśród Polonii Zagranicznej, tak zawsze ofiarnej na rzecz wojska.

POSZUKIWANIE

Kpt. dr. DOELLINGER ZYGMUNT, Polish Forces M.F.10 poszukuje następujących osób:

1/ Zofia Doellinger, z domu Radogost-Uniechowska, ur. w r. 1907, żona Zygmunta, pielęgniarka dypl., ostatnio zamieszkała w Warszawie.

2/ Anna Doellinger, córka Zygmunta i Zofii, ur. w r. 1932, ostatnio zamieszkała w Warszawie przy matce.

JÓZEF SOLECKI gajowy Lasów Państw. Nadleśn. Drohobycz — poszukuje syna Stanisława ur. 8.V.1922 r., przebywającego w niewoli niemieckiej Stalag X — A Nr. 10452 oraz krewnych i znajomych. Wiadomości proszę nadsyłać na adres: 103, Albert Street, London, N.W.1.

Ktokolwiek wie o losach rodziny Dr. BLUTREICH SERAFINA /kpt. lekarz, ur. w 1900 r. w Zaleszczykach, proszony jest o przesłanie wiadomości pod adresem: Dr. Blutreich, Polish Forces 37, C.M.F.

POSZUKUJE SIĘ:

Adama ANTONIEGO OZIMOWSKIEGO, przebywającego w obozie Markt Pongau Gau Salzburg, Stalag XVIII c. — poszukuje ZOFIA OZIMOWSKA, Polish Women's Army, c/o Contact Team p. W.x. 306 P.W. Liaison Detachment, First C.D.N. Army C.H.C.

STEFANA KING zamieszkałego w 1939 r. Warszawa ul. Żytnia 57 jeńca wojennego 1939 r. — poszukuje ZOFIA OZIMOWSKA.

ZDZISŁAWA TOMASZEWSKIEGO, wywiezionego do Niemiec w 1944 r. — poszukuje ZOFIA TOMASZEWSKA, Polish Women's Army, c/o Contact Team, p.W.x. 306 P.W. Liaison Detachment, First C.D.N. Army C.H.C.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

NA FRASUNEK DOBRY GRANAT



—Zabraniam wam bawić się granatem!

—Panie szefie, nie dostałem przepustki na dancing, więc chcę się jakoś rozerwać! . . .

W PEWNYM OBOZIE

—No jak wam się wiedzie w obozie?

—Tak sobie! Cały dzień gimnastyka — później kino-dancing — *fish and chips* i spacer!

—To jesteście zadowoleni?

—O tak, dezerterów u nas nie ma! . . .

DOBRA RADA

Do pewnego obozu przyjeżdża "Czwórka kaprali" z przedstawieniem. Po występie okazuje się, że artyści nie mają noclegu. Jeden z gospodarzy odzywa się:

—Jeżeli na przyszłość chcecie mieć nocleg, to musicie zmienić nazwę zespołu . . .

—???

—Musicie nazwać się: "Czwórka pułkowników" . . .

JEDNO ŻYCZENIE

—Pan chce być oficerem czasu wojny?

—Nie, chcę być tylko strzelcem czasu pokoju . . .

POSŁUSZNY ŻOŁNIERZ



—Co wy tu za hece wyprawiacie?

—Pan szef dał rozkaz, że mam się na jednej nodze zameldować, więc stawiam się na rozkaz! . . .

BYŁ SPOSÓB . . .

Chory umysłowo wdrapał się na trzypiętrowy gmach szpitalny. Lekarze używają wszystkich sposobów, ażeby chorego ściągnąć z dachu. Po godzinie inny chory zwraca się do lekarza:

—Panie doktorze, jeżeli pan chce, to ja go ściągnę z dachu.

—W jaki sposób? — pyta lekarz.

—Zobaczy pan. Tylko proszę mi nie przeszkadzać.

Drugi pacjent po chwili przynosi piłę i woła:

—Czy ty zejdziesz czy nie? Jeżeli nie — to podpiłuję budynek! . . .

W kilka sekund później chory zjechał po rynnie . . .

WŚRÓD PESTEK

—Taki smarkacz z jedną gwiazdką i będzie mi tutaj impotentować.

AUTENTYCZNE

Pewna Szkotka zwraca się do Polaka:

—Jesteście wspaniałym narodem i w życiu międzynarodowym postępujecie bardzo — *fair*! Między sobą, życie wasze układa się fatalnie. Co jest lepsze, czy być w życiu międzynarodowym "*fair*" czy w życiu wewnętrznym?

—Nie wiem — odpowiada Polak.

—Bierzcie sobie przykład z nas. My między sobą żyjemy bardzo *fair*! . . .

W SĄDZIE



—Co oskarżony ma na swoją obronę?

—Akt oskarżenia . . .

ZNALAZŁ PRZYCZYNĘ



—Feluś patrz, jaki dziwny kolor ma to morze! Zupełnie żółta woda!

—To z malowanych nóg tej Szkotki! . . .

OSZCZĘDNOŚĆ SZKOCKA

Do pewnego oddziału polskiego w Aberdeen przyjeżdża Czołówka Teatralna.

—A karty żywnościowe panowie macie — zapytuje jeden z "mieszkańców" obozu.

—Nie!

—To źle! Jak się przyjeżdża do Aberdeen, to należy ze sobą zabierać nawet wodę do picia . . .

PRZYSMAK . . .

Fryzjer obozowy strzyże żołnierza. Obok "pacjenta" przyczaił się szkocki pies.

—Dlaczego ten pies tak na mnie patrzy?

—Bo myśli, że będzie miał takie szczęście jak wczoraj . . .

—Jakie?

—Przypadkowo odciąłem kawałek ucha szefowi . . .

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

Aleksander Janowski: W nas żyje Polska. — Orędzie Prezydenta R.P. — Rozkaz Naczelnego Wodza. — *Zastępca:* Przegląd tygodniowy. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — *Janusz Wedow:* Spotkanie z Armią Krajową /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Janusz Laskowski:* Wielki dzień marynarza Bluszcza. — *Porucznik Herbert:* Dywizjon "Obrońców Warszawy" /Dwadzieścia i jedna noc. Pierwszy lot kpt. Chmiela/. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — "Towarzysz Broni". — Zbiórki. — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press. Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.